
PRZEWODNIK SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

SPRAWOM SPOŁECZNO - OŚWIATOWYM

WYDAWCA: KATOLICKA SZKOŁA SPOŁECZNA W POZNANIU

NR 7

LIPIEC 1939

ROK XX

TREŚĆ

ROZPRAWY

- Inż. Eug. Kłoczowski. Naprawa stosunków społecznych i gospodar-
czych wsi polskiej z punktu widzenia zasad katolickich . . . 226
P. Vetter. Młodociany bezrobotny a Fundusz Pracy! . . . 235

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

- Kongres w sprawie powrotu matki do ogniska domowego . . . 245
Walka z bezrobociem wśród młodzieży belgijskiej . . . 245
Z działalności naszych organizacyj oświatowych . . . 245

DZIAŁ RECENZYJNY

- M. Wachowski. W obronie przed sprawozdawcami . . . 248

DODATEK: WYKŁADY I ODCZYTNY

- K. Chwila przełomowa . . . 251
W. K. Błędy wychowawcze . . . 254
J. K. Nie dręczmy zwierząt! . . . 259

Redaktor: Ks. Dr Edward Kozłowski.

Adres Redakcji i Administracji:

Poznań, Podgórna 12 b I, Telefon 15-14, P. K. O. 202 932.

Abonament kwartalny wynosi 5,— zł. Cena zeszytu 1,75 zł. Oplatę
można najwygodniej uiścić
za pomocą przekazu rozrachunkowego lub wpłaty na nasze konto w P. K. O. Poznań 202 932

Dawniejsze roczniki „Przewodnika Społecznego“ można nabyć w cenie: r. I—V po 10,— zł
r. VI—XI po 15,— zł, XII—XIX po 20,— zł.

Całoroczni abonenci otrzymają na roczniki te 40% opustu.
Na życzenie dostarcza się roczniki oprawne.

Inż. Eug. Kłoczowski

NAPRAWA STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH I GOSPODARCZYCH WSI POLSKIEJ Z PUNKTU WIDZENIA ZASAD KATOLICKICH

Zagadnienia wiejskie szczególnie są zawile. Kwestia społeczna na wsi w różnych okolicach naszej rozległej Ojczyzny zgoła inny posiada charakter i posmak, stąd ludziom najlepszej woli często bardzo trudno znaleźć wspólny język, jeśli chodzi o różne szczegóły programu katolickiego na wsi. Jednak i tu można z pewnością zgromadzić wiązaną prawd uniwersalnych, a bliskich życiu, które by wystarczyły do zjednoczenia i do budzenia zapału dla katolickich zasad społecznych w szerokich rzeszach katolików. Trzeba jeno mieć przed oczami wizję przyszłej po katolicku urządzonej wsi i z zapałem kroczyć do jej urzeczywistnienia.

Nie możemy sobie inaczej wyobrazić ustroju przyszłej wsi polskiej, po katolicku myślącej, jak nie w ustroju korporacyjnym. Korporacja rolnicza, naczelną między innymi zawodami co do ilości swych członków i co do wagi swej w rolniczej Polsce, obejmie sobą wszystkich ludzi na roli pracujących, zarówno właścicieli gospodarstw, jak i robotników rolnych, a też i fachowców, stanowiących dla rolnictwa siły pomocnicze, tudzież organy wymiany i przemysłu rolnego. Podporządkowana nadrzędnym interesom całego organizmu narodowego i państwowego, korporacja rolnicza we własnym swym łonie realizować będzie i pilnować postulatów sprawiedliwości społecznej, na miłości Chrystusowej zbudowanej.

Gospodarczo rzecz biorąc, będzie to organizacja zawodu, a razem samorząd rolniczy i terytorialny, o siły społeczne uświadomionych mas ludowych oparty. Celem jej istotnym — to organizowanie doskonałej harmonii całości życia wiejskiego w oparciu o zdrowy rozwój każdej jednostki ludzkiej.

Spróbuję kolejno zastanowić się nad tym:

1) kto ma być właściwym podmiotem działania w korporacji rolniczej?

2) jakie kwestie gospodarcze i społeczne regulować będzie korporacja?

3) jakie prace przygotowawcze do budowy korporacji rolniczej już dziś młodzież katolicka prowadzić powinna?

O wartości organizacji decydują ludzie. Taka będzie korporacja rolnicza, jakimi będą czołowi i drugorzędni działacze i wykonawcy jej funkcji. Cały plan, w teorii najpiękniej — skonstruowany, obróci się w niwecz, jeśli motorem i podmiotem działania korporacji nie będą odpowiedni ludzie. Kto ma więc polską korporację rolniczą tworzyć i jej przewodzić?

Jeśli będzie to robił rząd przez swoich funkcjonariuszy, dławiąc w zarodku inicjatywę społeczeństwa, wtedy powstawałby u nas korporacjonalizm faszystowski a nie katolicki. Jeśli do pracy tej stanie grupa inteligentów, choćby z wykształceniem rolniczym, ale nie rolników praktyków — wtedy rzecz cała udławi się w bezdusznym papierowym zbiurokratyzowaniu. Jeśli sam ciemny — chłop rolnik ma tworzyć korporację, to niezdolny się okaże do tego zadania, bo przecież do każdego wielkiego przedsięwzięcia potrzeba dużo walorów intelektualnych. Ani Kościół, ani Akcja Katolicka nie są powołane do bezpośredniego organizowania jakiegokolwiek korporacji.

Motorem i mózgiem korporacji rolniczej jako związku zawodowego muszą być inteligentni rolnicy praktycy, właściwi producenci rolni, tkwiący rękami i nogami w zespole wiejskim.

Znaczenie inteligenta — rolnika, trudniącego się praktycznym gospodarstwem, dla wszelkiego postępu rolniczego i kulturalnego zostało już od dawna ustalone. Bez elementu inteligentnego, tkwiącego na roli, — nie tylko oświata mas rolniczych posuwa się żółwim krokiem, ale i sama nauka rolnicza jałowuje, grzęźnie w abstrakcjonizmie, żyje własnym oderwanym od koryta rzeczywistości życiem, nie znajdując wspólnego języka z producentem rolnym. Setki dyplomowanych rolników i inżynierów rolnych, opuszczających corocznie nasze wyższe zakłady naukowe, wtedy istotnie popchną wieś naprzód, jeśli wchodzić będą w samo życie i prowadzić osobiście warsztaty rolne. Rolnictwo nie jest filozofią, lecz zawodem o bardzo konkretnych formach pracy.

W Polsce do dziś panują stosunki na tyle opłakane, że rolnikami z wyższym wykształceniem, trudniącymi się praktycznym rolnictwem, są wyłącznie posiadacze większych gospodarstw-folwarków. Niski poziom kulturalny, nieopłacalność chroniczna produkcji rolnej — są tego smut-

nego stanu rzeczy przyczyną. Jeśli jednak w obecnej chwili rzucamy myśl swą ku przyszłości, to w przyszłej korporacjonizowanej wsi — musimy widzieć liczne tysiące rolników o pełnym, wyższym wykształceniu fachowym, którzy gospodarować będą na średnich i wielkoczęłopskich warsztatach rolnych i oni to być mają niezbędnym elementem kierowniczym dla korporacji. Ponieważ zupełnie drobne gospodarstwa w najlepszych nawet warunkach nie będą w stanie opłacić kosztów akademickiego kształcenia swych właścicieli, więc waga gospodarstw średnich, kilkudziesięciohektarowych w strukturze wsi nabiera w naszym oświeceniu specjalnego znaczenia. O tym, by dzisiejsze folwarki, stale topniejące, odegrać mogły na dłużej rolę kierowniczą w korporacji rolniczej, myśleć nie można. Oczywiście wielkim nierozsądkiem byłoby odrzucanie *à priori* współpracy kierowniczej twórczo nastawionych jednostek spośród ziemiaństwa w organizowaniu wsi na nowych zasadach, walorów jedynych inteligentnych producentów rolnych nigdy z oczu tracić nie wolno. Topnienie wszakże stanu ziemiańskiego, trwale intensywny proces parcelacji, osłabiany raczej niż przyspieszany przez przepisy obowiązującej reformy rolnej, a nade wszystko budząca się dynamicznie w rzeszach ludowych świadomość odpowiedzialności obywatelskiej za Polskę — wszystko to każe nam rozszerzyć w myślach ośrodki kierownicze ruchu rolniczego na liczne większe gospodarstwa chłopskie. Wykształcony i gospodarujący chłop stać się musi podwaliną i kierownikiem korporacji rolniczej i póki on do tego zadania dopiero dorasta, póty i idea korporacjonizmu na wsi znajdować się wciąż będzie w stadium przygotowawczym.

Korporacja ma ze swej natury charakter organizacji zawodu, to też w pierwszym rzędzie celem jej być powinno poprawienie dochodów tych z jej członków, którzy żyją dziś w większej lub mniejszej biedzie. Całe nieomal rolnictwo w Polsce w biedzie skrajnej się znajduje. Zostało ono zepchnięte na ostatni plan życia przez zespoły kapitalistyczne prężne i ruchliwe oraz przez tępy biurokracyzm urzędów. Powiedzonka „o froncie ku wsi” niewiele dotąd poprawiły sytuację. Zresztą jest rzeczą jasną, że dopóki rolnictwo całe uświadomione i zgodne w organizacji nie stworzy potężnego jednolitego frontu wiejskiego, póty interesy jego nie znajdą dostatecznego poparcia i zabezpieczenia. Od szeregu lat mówi się w rolnictwie dużo o owym froncie wielkim, który stworzyć należy, ale apatia, brak wiary w wyniki pracy zespołowej, ciemnota, wyeliminowanie przymusowe ziemian z wielu organizacji rolniczych, opanowanych przez radykałów, wszystko to paczy i kłody pod nogi rzuca frontowi wiejskiemu. My katolicy ideę frontu wiejskiego rozszerzmy do dążenia do korporacjonizmu i wyteżmy wszystkie swe siły, aby potęgę zorgani-

zowanego zawodu rolniczego do życia doprowadzić i utrzymać. Domaga się tego potrzeba wprowadzania w życie sprawiedliwości społecznej, bo widzimy, że miliony chłopów-rolników zepchnięte w noc biedy ostatecznej, krzywdzone są srogo przez wyzysk żydowski, bezwzględność karteli, małoduszność biurokracji.

Front rolniczy w Polsce wywalczyć musi lepsze warunki opłacalności dla produkcji rolnej. Nie wystarczy tu czynić udanych starań o odpowiednią politykę podatkową, celną, komunikacyjną itd. Dla opłacalności produkcji potrzeba jest jej organizowania oraz ujęcia w ręce rolników aparatu wymiany produktami rolnymi. Daleki jestem od myśli propagowania jakiegokolwiek modnej dziś „planowości” w rolnictwie, polegającej na regulowaniu produkcji przez jakieś biura centralne i kierownicze, jak tego pragnie prześląknięty duchem marksizmu, tak obcym wsi, ruch tzw. „młodowiejski”. „Planowość” w rolnictwie jest fikcją. Natomiast organizowanie przez samych zainteresowanych rolników produkcji masowej jednolitego i standaryzowanego towaru, znajdującego zbyt na rynku krajowym czy zagranicznym — byłoby w mocy zmniejszyć chaos w produkcji rolniczej, ukrócić gwałtowne wahania cen. Jakby zwiastunami podobnej organizacji branżowej w produkcji rolnej są dzisiejsze związki producentów jęczmienia browarnego lub związki producentów nasion oleistych, które sporo już usług rolnictwu polskiemu oddały. Podobne też metody pracy przejmować i stopniowo rozszerzać i doskonalic ma przyszła korporacja.

Jeszcze większy niż w produkcji rolnej jest dziś chaos w dziale wymiany produktami rolnymi. W tym zakresie warunkiem nieodzownym opłacalności produkcji jest zorganizowanie handlu rolniczego. Korporacja musi organizować spółdzielnie i prywatny handel rolniczy, wyposażyć je w sprawnie działające i zasobne centrale, zbliżyć, słowem, rolnika do ostatecznego konsumenta w kraju i za granicą i tą drogą podnieść dochody wsi. Spółdzielczość przy tym ma być środkiem pomocniczym dla zdobycia dobrobytu rolnika, a nigdy nie ma być jakimś w samym sobie programem społecznym, jak chcą socjaliści i liczni działacze współczesnego ruchu spółdzielczego, na szkole socjalistycznej kształceni.

Funkcją korporacji rolniczej będzie dalej szerzenie oświaty zawodowej na wsi. Tu zadania i obowiązki kształcenia wszystkich przyszłych rolników poprzez szkoły rolnicze niższe i wyższe, kursy przysposobienia rolniczego, konkursy uprawowe i hodowlane są ogromne. Powodzenie całego ruchu zawodowego wszak zawisło od poziomu oświaty na wsi. Podobnie oczekuje na korporację rolniczą przejęcie przez nią szeregu funkcji samorządu terytorialnego gminnego i powiatowego. Powinno

to przyczynić się do usunięcia z tych instytucji ducha biurokratyzmu, panoszącego się dziś w zastraszających rozmiarach i ubliżającego rodzącej się ambicji chłopskiej. Wszak wypadki smutne w Małopolsce, owe strejki chłopskie, mają za swe tło zasadnicze dążenia chłopów do zdobycia większego wpływu na bieg życia społecznego.

Obok wszystkich powyżej naszkicowanych zadań korporacji rolniczej, jako organizacji zawodu, dbałego o dobrobyt swych członków, korporacja katolicka wnieść musi w stosunki wiejskie w zakresie jak najszerszym zasady sprawiedliwości społecznej. Tu dotknąć musimy dwu wielkich zagadnień, a mianowicie sprawy struktury agrarnej w Polsce i spraw robotników rolnych.

W niedawno wydanej pracy dr. W. Stysia pt. „Wpływ uprzemysłowienia na ustrój rolny” znajdujemy ciekawe rozważanie nad strukturą agrarną krajów na całej kuli ziemskiej. Dr Styś dzieli kraje na 4 zasadnicze grupy:

1) kraje azjatyckie o starej cywilizacji — jak Japonia, Chiny, Indie, charakteryzujące się niezmiernie daleko posuniętym rozkawałkowaniem gruntów,

2) Rosja Sowiecka, oparta na kołchozach i sowchozach,

3) kraje europejskie o wielkiej skali różnych typów i wielkości i stopnia intensywności,

4) kraje Nowego Świata, oparte o ekstensywnie zagospodarowane, kapitalistyczne formy. Na ogół gęstość ludności rolniczej jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do przeciętnej powierzchni gospodarstwa. Wzrost ludności rolniczej w krajach nieuprzemysłowionych musi powodować dzielenie gospodarstw. Podział gruntów w rolniczych krajach wschodniej Europy jest zjawiskiem zwykłym, natomiast w krajach przemysłowych Zachodniej Europy został już dawno powstrzymany. Odpływ nadmiaru ludności do miast ze wsi zmniejszył poważnie ciśnienie ludności na ziemię. Zmniejszanie się ludności rolniczej, spowodowane szybkim wzrostem przemysłu, nie tylko wstrzymuje dalsze rozdrabnianie się gruntów, lecz powoduje nawet tendencję do koncentracji gospodarstw — a to z powodu zmniejszania się liczby rodzin włościańskich. Z drugiej strony wzrost stopnia intensywności, wywołany korzystniejszym stosunkiem ceny produktów rolnych do kosztów produkcji — zmniejsza optymalną powierzchnię gospodarstwa. W rezultacie ściera się tych przeciwnych prądów — w Zachodniej Europie jesteśmy świadkami zmniejszania się ilości małych i wielkich gospodarstw przy równoczesnym wzroście średnich.

Z badań naukowych dr. Stysia wynika, że jedynym lekarstwem na przeludnienie rolnicze jest daleko idące uprzemysłowienie kraju. Że jednoczesna dążność do stabilizowania się gospodarstw średnich w warunkach kraju uprzemysłowianego jest nadzwyczaj pożądana dla rozwoju kultury rolniczej, gdyż umożliwia jednostkom inteligentnym bezpośrednią pracę na roli, — to dowodów na to mamy masę we wszystkich krajach europejskich, przodujących rolniczo całemu bodaj światu. Podkreślałem już uprzednio walory inteligentnych średnich rolników, jako naturalnych przywódców całego zawodu.

Struktura agrarna nieuprzemysłowionej Polski chyli się z coraz większym natężeniem w kierunku nadmiernego rozdrabniania gospodarstw. Z każdym dziesiątkiem lat coraz bardziej przybliżać się zaczynamy do stosunków chińskich, wpadamy w ślepą ulicę pauperyzacji mas wiejskich, a u końca tej pauperyzacji, o ile by, nie daj Boże, nadal trwała, leżeć będzie chyba komunizm. W tych warunkach i w Polsce przerwanie stałego przyrostu ludności rolniczej przez skierowanie znacznej jej części do handlu i przemysłu jest bez wątpienia koniecznością. Ale dla nas katolików teza uprzemysłowienia, wysunięta przez dr. Stysia, wymaga pewnych zastrzeżeń. Rozwój wielkiego kapitalistycznego przemysłu, związany z powstawaniem wielkich miast i ośrodków fabrycznych, gdzie koncentrować się zaczynają olbrzymie masy proletariatu i gdzie wiecznie tkwić będzie zarzewie buntu i walki klas, rozwój fortun wielkich królów kartelowych lub etatyzmu — to wszystko są momenty sprzeczne z katolickim światopoglądem społecznym, który raczej pragnąłby widzieć rozkwit drobniejszych i licznych warsztatów pracy. Zresztą i koniunktura gospodarcza wyraźnie zdaje się wskazywać, że minął okres, w którym wielki przemysł, żerujący na zapełnianiu krajów egzotycznych swą tandetą, rósł w siłach w postępie geometrycznym i coraz silniejszej ulegał koncentracji.

Polskę, którą w dobie niewoli ominął paroksyzm szaleńczego uprzemysłowienia, dziś już wieść trzeba do bogactwa drogą wolniejszą, lecz pewniejszą.

Skutki pogarszającej się w Polsce struktury agrarnej likwidować trzeba posunięciami różnorodnymi, na czele których postawiłbym dążenie do uprzemysłowienia wsi, do tworzenia w gospodarkach karłowatych swego rodzaju przemysłu chałupniczego, o spółdzielczość opartego. Dbała o los swych członków korporacja rolnicza poparta przez mądrą politykę państwa przeprowadzić musi wielki plan inwestycyjny, idący w kierunku budowy dróg i kolei, elektryfikacji kraju itd., gdyż dopiero wygodne warunki komunikacyjne i rozprowadzenie do dalekich zakąt-

ków energii elektrycznej stworzy możliwości istotnego uprzemysławiania wsi. Samo już wykonywanie prac inwestycyjnych wymagać będzie wielkiej ilości pracy ludzkiej, co odciąży znacznie przeludnienie wiejskie.

Drugim łożyskiem, który odprowadzić winien nadmiar ludności ze wsi — to rozwiązanie problemu żydowskiego. Chłop polski nie może gniesć się bezradnie w nędznej lepiance, skoro kilka milionów ludzi obcej i wrogiej nam religii i narodowości opłatuje swymi maczkami wszystkie drogi wymiany i w sposób oczywisty pasożytuje na naszym organizmie gospodarczym. Z chwilą trwałej poprawy koniunktury w rolnictwie i, co najważniejsza, z chwilą wyższości cen na ziemi, ruch chłopów ku miastom wzmoże się do rozmiarów lawiny. Dziś kończy się sprawa na awanturach i straganiarstwie, bo chłop do miasteczka idzie tylko z kijem i z groszami w kieszeni. Gdy pójdzie on tam zaopatrzony w złotówki, osiągnięte ze spłat rodzinnych lub sprzedaży działki ziemi po dobrej cenie — wtedy żadne żydowskie kasy bezprocentowe nie obronią handlarza żydowskiego przed polską konkurencją. Tak jak w Wielkopolsce opłacalność rolnictwa dopomogła do spolszczenia miast, tak stać się też musi w reszcie Polski. Nie rozwiąże jednak problemu żydowskiego wieś, złożona z b. małych lub zgoła karłowatych gospodarstw, gnębionych własną nędzą. Bogaty chłop — to zasadniczy czynnik odżyzdzenia kraju.

W pewnym procencie poprawić też może strukturę agrarną Polski tzw. reforma rolna. Pod mianem tym rozumiem całokształt posunięć, zdążających do oparcia struktury wsi na gospodarstwach jak najzdrowszych. Reforma rolna to w pierwszym rzędzie komasacja, uregulowanie serwitutów, melioracje nieużytków, wreszcie parcelacja folwarków. Parcelacja ta odbywać się winna zasadniczo dobrowolnie. Jedynie w wypadkach, gdy folwark nie odpowiada założeniom pożyteczności społecznej, tj. wtedy, gdy jest bardzo źle zagospodarowany, ziemie odłogują, ludzi zatrudnionych jest mało, właściciel nie jest związany ściśle ze swym gospodarstwem lub, jako człowiek obcej narodowości, wywiera ujemny wpływ na bieg życia narodowego w okolicy — natenczas państwo ma zasadniczo prawo przymusowo majątek wykupić i rozparcelować. W okolicach, gdzie głód ziemi u chłopów szczególnie silnie daje się odczuwać, państwo prowadzić powinno politykę intensywnego popierania parcelacji drogą posunięć podatkowych, kredytowania kupna parcel itd., uciekając się do przymusowego wykupu jedynie w drodze ostatecznej. Obowiązujące dziś przepisy o reformie rolnej ulec powinny zmianom w tym duchu, że maksimum posiadania nie powinno

być określone, odszkodowanie za wywłaszczoną ziemię powinno równać się cenie rynkowej, rząd przy wywłaszczeniu powodować się winien bardzo skrupulatnie zbadanymi cechami użyteczności czy nieużyteczności społecznej danego gospodarstwa. Niewielkie obszary gruntów rządowych lub tych prywatnych, które na skutek przymusowego wykupu staną się własnością państwa — powinny iść moim zdaniem nade wszystko na cele upelnorolnienia gospodarstw karłowatych. Nie przeznaczałbym tej ziemi — poza uwzględnianiem w pewnym zakresie potrzeb miejscowej służby folwarcznej — na tworzenie nowych samodzielnych gospodarstw, gdyż tą drogą nie podniesiemy dobrobytu mas bezrolnych, lecz pchać będziemy całą Polskę, w nędzne bytowanie drobnicy rolniczej. Zapewne, że od reguły tej mogą i powinny być wyjątki. W tych okolicach kraju, gdzie wielkie obszary dworskie graniczą z wsiami przeludnionymi ludnością bezrolną, gdzie sprawa agrarna szczególnie jest zaogniona, może wypadnie tworzyć przy pomocy funduszów rządowych nowe drobne gospodarstwa. Traktować jednak należy takie posunięcia za zło konieczne i wysilać się, aby przeludnienie wsi inną usuwać drogą. Wielkie masy już istniejących w Polsce niesamowystarczalnych gospodarstw mnożone być nie powinny. Z całym naciskiem chciałbym raz jeszcze podkreślić, że polska korporacja rolnicza stawiać winna kartę nade wszystko na bogate wielkochłopskie gospodarstwa, których właściciele fachowo wykształceni mają być, jak już mówiłem, przeznaczeni na prowodyrów całego zawodu rolniczego. Ideałem poprawy struktury rolnej w warunkach polskich byłoby zapobieżenie dalszemu tworzeniu się gospodarstw karłowatych, upelnorolnienie części z nich, stworzenie dla pozostałych gospodarstw karłowatych dodatkowych zarobków w formie nowoczesnego chałupnictwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa, przewoźnictwa itd., oparcie się o samowystarczalne i nade wszystko o wielkochłopskie gospodarstwa, jako o rdzeń i podstawę rolnictwa, pozostawienie pewnej ilości mniejszych i średnich gospodarstw folwarcznych jako ośrodków hodowli zarodowej, selekcji roślin i dla ułatwienia aprowizacji miast i armii.

Przygotowany już jestem na zarzut, że do tej pory nie dosyć interesuję się sprawą z punktu widzenia katolickiego najważniejszą, a mianowicie sprawą proletariatu wiejskiego, który podnieść materialnie jest rzeczą podstawową. Bez spełnienia tego celu nie mogłoby być w ogóle mowy o dodatnich rezultatach działania katolickiej myśli społecznej. Ani chwili nie waham się w całej rozciągłości potwierdzić powyższego punktu widzenia. Uważam wszakże, że bez uprzedniego wzrostu zamożności rolników i bez odciążenia przerostu ludności rolniczej przez skierowanie jej części do innych zawodów —

dzielenie się dzisiejszym bochenkiem chleba na wsi byłoby nieracjonalnym spychaniem całej wsi w padół nędzy, a nie poprawą sytuacji. Trzeba najprzód mieć się czym dzielić, trzeba zwiększyć majątek rolników, zakrzepić ich poprzez stworzenie zwartego frontu i racjonalizację produkcji i wymiany — a wtedy dola proletariatu wiejskiego dozna radykalnej i wyraźnej poprawy, bo wzrośnie zapotrzebowanie rąk robotniczych, otworzą się możliwości opłacalnego inwestowania, umożliwione będzie wypłacanie znacznie wyższych wynagrodzeń za pracę.

W chwili jednak już i dzisiejszej, nie czekając na skutki pośrednie poprawy położenia rolnictwa, katolicyzm w Polsce wyraźnie i jasno zająć się musi dolą proletariatu wiejskiego i w miarę rozsądnych możliwości poprawiać mu egzystencję. Drogą ku temu jest tworzenie chrześcijańskich związków zawodowych robotniczych, grupowanie całej biedoty wiejskiej pod sztandary organizacji, broniących uczciwie słusznych postulatów ludzi pracy. Te chrześcijańskie związki są tak samo jak i organizacje rolników, składowym członem korporacji rolniczej, członem również ważnym. Wielka siła, jaką reprezentować będzie w korporacji zrzeszony świat pracy danego zawodu, będzie rękojmią, że postulaty robotnika w miarę wzrostu dobrobytu rolniczego realizowane w całej rozciągłości być muszą. Musimy w wolnej Polsce doprowadzić bezwzględnie do tego stanu rzeczy, aby ojcowie rodzin taką otrzymali płacę, która by odpowiednio zaspokoiła przeciętne potrzeby życia rodzinnego i pozwoliła im z czasem dojść do własnego mienia — jak mówi Encyklika Q. a. Katolicyzm społeczny wytworzyć powinien mocny prąd opinii publicznej, nakazujący wszystkim pracodawcom należyte wynagradzanie robotników rolnych. Istniejące umowy zbiorowe co do płac w rolnictwie powinny być przez obie strony szanowane. Poza zapłatą za pracę pracodawca winien ojcowską opieką otaczać swą służbę, dbając o jej moralność i potrzeby umysłowe. Ochronki dla dzieci, świetlice dla starszych powinny być w każdym folwarku. Starość robotników rolnych powinna być zabezpieczona przez stworzenie ubezpieczenia emerytalnego w całej Polsce tak, jak to ma miejsce w woj. zachodnich. Całe społeczeństwo powinno szanować robotników, wyrabiać w nich samych szacunek dla pracy, z której żyją. Fornał dworski, poniewierany przez inne klasy społeczne i sam na siebie patrzący jak na człowieka drugiej klasy, powinien być podciągnięty w swym rozwoju umysłowym i moralnym, aby poczuł się pełnowartościowym obywatelem kraju.

Zespolenie wszystkich pracodawców i pracowników rolnych w jednej korporacji, z odpowiednich sekcji złożonej, pozwoli Polsce w ca-

lej pełni zrealizować katolicki program społeczny na wsi. Obraz do którego wdychamy, wizja ustroju korporacyjnego wstaje oto żywa przed naszymi oczami.

*

Prace wstępne czekają nas ogromne. Do tych prac w szerokim zakresie powołać musimy naszą katolicką młodzież, której zapały czyste i młodzieńcze sięgają śmiało w otwartą przyszłość. Wszystkie społeczne i indywidualne poczynania naszych stowarzyszeń młodzieżowych bić muszą niby taran w dzisiejszą rzeczywistość i rzeźbić drogi, wiodące ku katolickiej korporacji. Robót przygotowawczych nie zabraknie dla nikogo chętnego. Wśród młodzieży rolniczej wyrabiać trzeba mocnych, dzielnych działaczy kółek rolniczych i spółdzielni, budzić wiarę w obfite owoce umiejętności i słuszných poczynañ społecznych, kształcić przyszłych budowniczych i zarządców korporacji. W Polsce potrzeba nade wszystko ludzi do karnej, mozolnej, wytrwałej pracy. K. S. M. M. i Ż. takich ludzi wychować muszą. Wśród młodzieży robotniczej na wsi kształcić znów mamy przyszłych przywódców związków zawodowych, mających w sercach prawdziwą miłość dla współrobotników, a patrzących na świat oczami miłości Bożej, a nie oczami szatańskiej nienawiści klasowej. Podnosić mamy poziom oświaty rolniczej, jak dziś, nade wszystko przez świetną metodę przysposobienia rolniczego. Każda udana praca każdego zespołu — to nowy krok naprzód w kierunku poprawy gospodarstw, w kierunku budowy podwalin pod korporację rolniczą. Cała młodzież stanąć musi jasno i z wiarą do poparcia handlu polskiego, niech spontanicznie dziś rodzące się w całej Polsce hasło — antyżydowskie, najdobitniej i najskuteczniej głoszone będzie przez naszą młodzież katolicką. Wśród synów gospodarzy karłowatych budźmy zapał do rzemiosła, do ogrodnictwa, do różnego rodzaju majstrowania, które tak jest pomysłowe i częste na wsi, że wróży pewne powodzenie dla wielkiego programu uprzemysłowienia wsi.

Oddajmy nasz katolicki program polskiej wsi z całym zaufaniem w żywotne siły ludu, który jutro wytworzy już dostateczne siły intelektualne we własnym swym zespole, aby program nasz zrealizować. Siły te rodzime rozdmuchujmy, wyszukujmy, utrwajajmy, bo tylko własne siły wsi o obliczu przyszłej korporacji decydować będą. Nie łudźmy się, by praca jakichkolwiek opiekunów chłopów mogła w tym względzie zastąpić niemoc ciemnych mas. Potężny prąd oświaty katolickiej, a zwłaszcza wielki poryw serc w ich miłości do Ukrzyżowanego — oto czego naszej wsi potrzeba, aby weszła na jasną drogę odrodzenia.

P. Vetter

MŁODOCIANY BEZROBOTNY A FUNDUSZ PRACY!

Zjawisko bezrobocia w pojęciu ogólnym oraz dzieje walki z bezrobociem w Polsce sięgają już, historycznie biorąc, chwili odzyskania niepodległości, kiedy to młode Państwo polskie stanęło wobec konieczności przyjsia z pomocą liczny rzeszom ludzi, pozbawionych skutkiem wojny i towarzyszących jej klęsk ekonomicznych, pracy. Groźne to zjawisko bezrobocia dotknęło również naszą młodzież.

Bezczynność ta — bezrobocie działa na młodocianego wybitnie destrukcyjnie i stanowi bardzo poważny problem siły, potęgi i pomysłności kraju. Ten stan rzeczy dotyka młodocianego — bezrobotnego nie tylko pod względem materialnym, ale wpływa w wysokim stopniu na kształtowanie się jego psychiki, na jego poglądy religijne i społeczne, stosunek do zagadnienia pracy, do problemu rodziny — słowem na całokształt życia młodocianego — bezrobotnego. To właśnie zagadnienie jest przedmiotem poniższych wywodów.

Wyjaśniam nasamprzód, co rozumiem przez miano młodocianego bezrobotnego. Pod tę kategorię osób podciągnąłem chłopców, w wieku od 14—18 roku życia a więc tych, którzy jeszcze nigdy nie pracowali zarobkowo, dalej tych, którzy stracili pracę z jakichkolwiek przyczyn. W zrozumieniu ustawy z dnia 2 lipca 1924 r. w przedmiocie pracy młodocianych — pracy zarobkowej może się podejmować młodzież dopiero od 15 roku życia; uwzględniłem jednak już młodzież od 14 roku życia, gdyż wobec konieczności natychmiastowego zarobkowania chłopiec opuszczając szkołę stara się o jakąkolwiek pracę, a tym samym zaczyna się dla niego tragedia bezrobocia i beczynności.

Pracę moją opieram przede wszystkim na materiale źródłowym, zdobytym drogą bezpośrednich wywiadów, swobodnych rozmów z chłopcami warszawskimi i ich obserwacji w różnych okolicznościach i to w czasie ich codziennych zajęć w domu, w świetlicy, w Biurze Pośrednictwa Pracy dla młodocianych, wreszcie drogą ankiety, rozpisanej wśród chłopców, zgromadzonych w świetlicy. Objąłem więc badaniami chłopców bezrobotnych, zarejestrowanych w Wojewódzkim Biurze Pośrednictwa Pracy, w oddziale dla młodocianych, w Warszawie. Podczas badań moich starałem się dotrzeć głównie do chłopców najuboższych — gdyż w życiu tej kategorii chłopców zagadnienie bezrobocia przybiera najwyraźniejsze i najgroźniejsze formy zarówno w kwestii warunków życiowych, jak i kształtowania się psychiki pod wpływem bezrobocia.

Pod względem wyznaniowym oraz narodowościowym chłopcy badani stanowili grupę jednolitą — rzymsko-katolików — Polaków.

Jeśli chodzi o technikę przeprowadzenia badań — o tyle miałem ułatwione zadanie, że odbywając czteromiesięczną praktykę w Funduszu Pracy w oddziale dla młodocianych w Warszawie, miałem możność zetknięcia się z chłopcami czy to w świetlicy przy biurze Funduszu Pracy, czy w samym już biurze zarejestrowania, gdzie również pracowałem. Łatwiej mi było ich już później odwiedzić w domu, w gronie rodziny. Może właśnie dlatego, że chłopcy bliżej mnie znali, nie na-

potkałem żadnych trudności, ani ze strony rodziców, którzy chętnie w razie potrzeby udzielali mi informacji, ani chłopców, którzy w obecności rodziców śmiało i szczerze się wypowiadali. Niech posłuży na to jedna wypowiedź młodocianego: „Dobrze, że Pan z Funduszu przyszedł, jak powiem rodzicom, że nie chciałbym być im na karku i chodzić do Funduszu po pracę, to nie wierzą, a ja przecież chodzę, Pan mnie widzi”. Udaając się na wywiady miałem pytania mniej więcej przygotowane, trudno było mi jednakże trzymać się ustalonego planu, kiedy rozmowa przeszła na tory swobodnej pogawędki. Na ogół przeważały wśród chłopców badanych wypowiedzi bardzo szczere. Jedynie, kiedy wypytywałem się o stosunki rodzinne, o atmosferę życia domowego, zauważyłem, że niechętnie mówią na ten temat. Znacznie mniej wagi przywiązałem do materiału, zdobytego drogą ankiety, rozpisanej wśród chłopców uczęszczających do świetlicy Funduszu Pracy; materiał ten traktowałem jako uzupełnienie wyżej wspomnianej formy badań.

Na podstawie dokonanych obserwacji i wypowiedzi badanych chłopców, które starałem się w pracy swej zachować w miarę możliwości w dosłownym brzmieniu, wyrobiłem sobie pewien ogólny pogląd na zagadnienie młodocianego bezrobotnego; a mianowicie: w jakich warunkach materialnych kształtuje się jego życie, jakie są ambicje i dążenia życiowe, jaki jest jego stosunek do nauki i dokształcania — jakie kierują nim pobudki w poszukiwaniu pracy i jakie w ogóle jest jego stanowisko wobec zagadnienia pracy, jak kształtuje się jego psychika pod wpływem bezrobocia, w jaki sposób zmienia się pod wpływem bezrobocia jego stanowisko w rodzinie, jaką przyjmuje on postawę wobec zagadnienia religii, moralności, jaki jest jego udział w życiu kulturalnym, w końcu przypatrzyłem się temu, co Fundusz Pracy w dziedzinie młodocianego — bezrobotnego zdziałał.

Z literatury mogłem skorzystać z następujących dzieł: „Młodzież sięga po pracę” Warszawa 1938, wydawnictwo Zasiłku Funduszu Pracy, dalej praca zbiorowa — dr. Eugenia Pragierowa „Warunki pracy młodocianych w Polsce” — Krahelska Halina i Pruss Stefan „Życie bezrobotnych”.

Jak już wspomniałem, objąłem badaniami chłopców sfer robotniczych a przede wszystkim bezrobotnych, nie mających stałych zarobków, gdzie jedyną pomocą dla nich to zasiłek instytucji społecznych, względnie doraźna praca ojca, matki lub doraźna praca starszego rodzeństwa. Większość badanych młodocianych to członkowie rodzin bezrobotnych — nie trudno w takim razie wyobrazić sobie, w jakiej atmosferze wyrasta ów młodociany bezrobotny, mieszkający w przepchniętych mieszkaniami izbach, w których się nie można nigdy skupić, nic przeczytać — pobawić ani poweselić.

Osobiście przekonałem się, że na 52 wypadków przeważa typ mieszkania, gdzie w jednej izbie mieści się 6—8 osób, nie ma stąd mowy o oddzielnym łóżku dla młodocianego. Jakże stąd mały procent badanych korzysta z tak prostej i niezbędnej dla życia wygody! W rodzinach natomiast mniej licznych często połowę mieszkańców stanowią sublokatorzy. Tego rodzaju warunki mieszkaniowe i w ogóle życiowe nie sprzyjają wytwarzaniu się ciepłej atmosfery rodzinnej — a raczej

utrudniają współżycie rodzinne, stłaczając na małej przestrzeni grupę ludzi rozgoryczonych, zgębionych psychicznie, pozbawionych wszelkiej radości życia, trapionych stałą troską o życie. Wśród takich warunków wyrastają zastępy młodocianych-bezrobotnych. Spośród 60 badanych nie pracowało jeszcze wcale 28 chłopców, 22 jako gońce, oczywiście tylko przejściowo a 10 jako uczniowie w małych warsztatach. Ten stan rzeczy fatalnie wpływa na psychikę młodocianego. Pozbawiony w okresie dojrzewania celowej, systematycznej pracy i regularnego trybu życia, skazany na bezczynność i marnowanie — nieraz wśród głodu i chłodu — najlepszych lat życia bezrobotny-młodociany często degeneruje się psychicznie. Kształtujący się jeszcze jego charakter ulega wypaczeniu, rozwój poczucia godności i odpowiedzialności zostaje zahamowany, wola i zdolność do wysiłku osłabione, wrażliwość na dobra kulturalne i wyższe wartości życiowe stępiona. Marnieją uzdolnienia, zanika poczucie więzów rodzinnych i społecznych, a ogólna postawa wobec życia młodego bezrobotnego — zależnie oczywiście od typu psychicznego — nabiera cech już to negacji i buntu, już to strachu i beznadziejności. Bezrobotny-młodociany czuje się bezużytecznym, wykreślonym poza nawias społeczeństwa; jest on pozbawiony tych radości i wartości wychowawczych, jakie daje praca. Wytwarza się w młodym bezrobotnym kompleks niższości. Wiedzieć trzeba, że bezrobotny dorósł nawet w ciągu kilku lat przymusowej bezczynności stosunkowo łatwo znajduje naturalne hamulce moralne w swym ustalonym charakterze i urobionym światopoglądzie. Bezrobocie młodocianego natomiast, uniemożliwiając mu w najodpowiedniejszym po temu wieku skrytalizowanie jego osobowości psychicznej i gospodarczej, wyrządza niepowetowaną stratę zarówno jednostce, jak i społeczeństwu, na stałe obniżając jego siły produkcyjne i poziom życia duchowego. Wielką klęską dla młodocianych chłopców, uniemożliwiającą im zdobycie pracy zarobkowej, to przede wszystkim brak kwalifikacji naukowych i przygotowania zawodowego. Na 60 badanych chłopców, 12 zaledwie skończyło 7 klas szkoły powszechnej, 7 posiadało niepełne wykształcenie zawodowe, zdobyte drogą praktyki w warsztacie. Najważniejszą przyczyną przedwczesnego opuszczenia szkoły przez młodocianych tkwi przede wszystkim w konieczności natychmiastowego zarobkowania wobec ciężkich warunków materialnych domu. Świadczy o tym np. wypowiedź 14-letniego chłopca: „Chciałem ukończyć szkołę powszechną, ale ojciec mi umarł, więc musiałem matce pomóc, jestem gońcem i trochę zarabiam”. O ile zaś chodzi o naukę zawodową stwierdziłem, że pewna część młodocianych odsuwa się od dokształcania pracy zawodowej, wprost lekceważy wiedzę praktyczną, jaką daje szkoła zawodowa. Wynika to po części z nastawienia chłopców, którzy chcieliby bez jakiegokolwiek wykształcenia zarabiać. Kiedy Biuro Główne Funduszu Pracy wywiesiło ogłoszenie, że mogą się zgłaszać chłopcy na kurs cholewkarzy i blacharzy karoseryjnych, z zdziwieniem stwierdziłem, że na 240 zarejestrowanych zgłosiło się 13. Przyczyny tak nikłego zainteresowania się tkwi, jak się wypowiadało, wprost w wstępie do tych zawodów. „To nie dla mnie praca cholewkarza” — tak zwierza się jeden, — „chciałbym być marynarzem — bo podoba

mi się zbiorowe życie i pełne przygód, a w wolnych chwilach zapomnieć mogę o szarym ładzie". Tkwi tu, sądzę, obok braku zainteresowania w tym kierunku brak zrozumienia wartości kwalifikowanej pracy zawodowej. Zgodzę się zaś z tym, co mówi Pragierowa w książce pt. „Warunki pracy młodocianych w Polsce”, że pod względem szkolenia zawodowego polska młodzież robotnicza ma wybór niebardzo wielki. Podkreślić jednak chciałbym, że o wyborze zawodu a raczej o niemożności wyboru zawodu przez młodocianego decydują nieraz rodzice, którzy nie wchodząc w uzdolnienia chłopca uniemożliwiają mu wybór zawodu. „Chciałbym zapisać się do Zawodowej Szkoły Żeglugi Rzecznej i Fundusz Pracy chce za mnie płacić, ale rodzice nie chcą, bo to za długa nauka, bo trzy lata a przez ten czas mogę zarabiać”, skarży się jeden. Podobne wypowiedzi usłyszałem od kilku chętnych kandydatów do tej szkoły. Mimo próśb i chłopców i moich nie otrzymali zgody rodziców i poszli w świat jako popychadło do wszystkiego, w najważniejszej części jako gońcy.

W większości wypadków młodociany skutkiem lekkomyślności traci pracę, łatwo się bowiem zniechęca i, zanim zdąży się zapoznać z nowymi warunkami i wymaganiami, już uważa, że „to nie dla niego” i przestaje pracować. Skutek jest taki, że stale się przerzuca i jest bez pracy. Na pytanie: „Dlaczego odszedłeś od pracy?” zwykle otrzymałem odpowiedź: „Za mało płacą” — „co ja będę za złotówkę dziennie pracował, wolę być bez pracy, bo jakbym pracował, tobym innej pracy lepszej nie dostał”. Przekonałem się jednak, bo miałem możliwość porozumienia się z różnymi firmami, w których młodociani pracowali, że przy dobrej woli mogą się oni wybić, mając początkowo słabe wynagrodzenie. Lecz cały ich sens życia, jedyne ich dążenie to natychmiastowe zdobycie pracy jakiegokolwiek, byleby dała niezły zarobek. Podchodząc do poszukiwania pracy z takim nastawieniem, sami sobie poniekąd zamykają wejście w świat pracy. Wobec wyraźnego braku przygotowania zawodowego tracą oni wszelkie szanse zdobycia stałego zatrudnienia, tym samym marnieją uzdolnienia i kwalifikacje zawodowe. Natrafiłem jednakże wśród młodocianych-bezrobotnych na takich chłopców — inna rzecz, że procent ich był minimalny — którzy odczuwają potrzebę i konieczność dokończenia się celem zdobycia pracy. „Ja się cieszę, że mnie przyjęto na kurs Żeglugi Rzecznej, bo jak skończę, to będę miał stałą posadę na okręcie” to wypowiedź 16-letniego chłopca. Inny znów, któremu już zbrzydło stale być gońcem, tak mówi: „Czym ja też będę, poza gońcem nic nie umiem”. Zagadnienie pracy, brak pracy, to motyw, który stale wraca w wypowiedziach młodocianych chłopców. W zdobyciu stałej pracy widzą oni jedyny środek na polepszenie doli, jedyne zaspokojenie pragnień. Na dowód tego niech posłużą wypowiedzi chłopców: „Chciałbym chętnie znaleźć stałą pracę, bo bez pracy to źle, nie chce się wracać do domu, bo jak wrócę smutny, to wszyscy wiedzą, że znowu nic”. Inny znów tak się zwierza: „Gdybym tak dziś mógł w domu powiedzieć: mam pracę, będzie nam wszystkim lepiej, to byłbym najszczęśliwszym człowiekiem”. Nie brak było chłopców, którzy z rezygnacją przychodzili do biura: „Chyba do śmierci będę siedział w tej poczekalni na uzyskanie pracy i się nie do-

czekam". I dziwna nieraz rzecz, iż mimo licznych ogłoszeń Funduszu Pracy zapotrzebowania o wolnych miejscach nauki oraz o otwarciu kursów zawodowych tak mało w rzeczywistości zgłaszało się kandydatów. Młodociany czeka nieraz beczynn timer, bezcelowo, nie przejawiając zainteresowań w kierunku wykształcenia zawodowego. Obok tej kategorii młodocianych — bezrobotnych spotkałem także cały szereg chłopców bardziej aktywnych, obdarzonych energią i wytrwałością, nie zrażających się tak szybko niepowodzeniami i czyniących wszystko, o ile chodzi o zdobycie pracy. „Przychodzę codziennie do biura i wierzę, że znajdę pracę, bo chcę pracować, a kto chce mieć pracę, musi o nią się starać”. Zazwyczaj też ci młodocianie bezrobotni, którzy nie zrażając się niepowodzeniami wprost gonią za pracą, przez co wykazują pewną wytrwałość, uzyskują pracę, niekiedy nawet stałą. Mimo że większa ilość, bo 22 z 60 badanych miało pracę doraźną — gońca i musiało więc liczyć się z tym, że jutro mogą się stać znowu bezrobotnymi, zauważyłem, że nie ma u nich apatii, rezygnacji, a raczej wykazywali gotowość w wypadku bezrobocia na nowo szukać zatrudnienia.

Życie młodocianego głównie wypełnione jest troską o zaspokojenie niezbędnych potrzeb życiowych: „Chciałbym tyle zarobić, by ojcu było lżej, bo nas dużo jest w domu”, albo „chciałbym mieć pracę, tobym mógł sam się utrzymać, bo w domu mi już wstyd siedzieć”. Dla tych młodocianych praca to przede wszystkim obowiązek względem rodziny, by nie być darmozjadem, lecz pomagać rodzinie. Przekonałem się, że ci, którzy szukają pracy w tym celu, by pomóc rodzicom i w końcu ją uzyskują, oddawają skromne swe zarobki matce lub ojcu. Uważają to za swój święty obowiązek być już odtąd nie darmozjadami, lecz pełnowartościowymi jednostkami.

Zasadniczo, jeśli chodzi o pracę, młodociany-bezrobotny nie podchodzi do niej z pewnym zrozumieniem, nie wybiera jej często dlatego, że uzdolnieniom jego ona odpowiada, a po prostu z tej przyczyny, że mu daje pewne wynagrodzenie. W ich pojęciu nie istnieje zawód, lecz tylko praca, o czym świadczy np. taka wypowiedź: „Grunut to dostać pracę” — nie troszczy się on o rodzaj pracy, o to, czy mu ona odpowiada i daje zadowolenie. Że wybór zawodu jest rzeczą istotną, mało kto się nad tym zastanawia. Zwykle decyduje przy wyborze zawodu wysokość płacy. Zawód dający lepsze zarobki jest najlepszy. Na czym jednak ten zawód polega, czy odpowiada skłonnościom, w to nie wchodzi się. Najczęściej nie dochodzi wcale do takich rozmyślań. W większości rodzin robotniczych dzieci nie wiedzą nawet, jaki zawód mają rodzice — o czym się bardzo często przekonałem. Wiedzą tylko, że pracują w fabryce lub w warsztacie. Zdaje mi się, że w wielkim stopniu winę tego ponosi szkoła, która nie budzi zainteresowań zawodowych. Młodociany chłopiec po wyjściu ze szkoły staje bezradny wobec problemu wyboru zawodu i najczęściej przypadek decyduje o wyborze zawodu.

Brak pracy młodocianego a wiążące się z tym zjawiskiem ciągłe rozterki i nieporozumienia w rodzinie wywołują coraz silniej występującą obcość duchową pomiędzy rodzicami a dzieckiem oraz powodują

zerwanie między nimi wszelkich więzi uczuciowych. W takich warunkach młodociany-bezrobotny często marzy o tym, by opuścić dom: „Już bym sobie poszedł w świat, ale wszędzie jest bezrobocie”. Otoczenie, które stale mu dokucza, „że jest darmozjadem”, robi mu uwagi: „mógłbyś już wreszcie pracować”, wpływa na coraz to większe przygnębienie młodocianego. — Lata stracone na bezowocnym siedzeniu w domu, zdrowie częstokroć już poderwane skutkiem trudnych warunków materialnych w domu, są brzemieniem ciężko przygniatającym młodocianego. To przygnębienie i wynikająca z niego bierność, a czasem rozpacz, często bunt, charakteryzują zmianę i przeobrażenia, jakim ulega i ulegać musi psychika młodocianego-bezrobotnego. Silne przygnębienie i rezygnacja pod wpływem braku pracy wyrażają się np. w następujących słowach: „Już dość mam życia, szukam i szukam pracy, a jak jej nie ma, tak nie ma”. — „Po co ja żyję, tylko innym zawadzam” — albo — wypowiedź 17-letniego, który skończył kurs cholewkarzy: „skończyłem przecież kurs, na który mnie Fundusz posłał, chodzę już pół roku i nic nie dostałem — a koledzy, co nic nie umieją, dostają pracę”. Poczucie zbędności i małowartości, brak widoków na przyszłość pozbawiają młodocianego zaufania do własnej osoby, do własnych uzdolnień twórczych i zarobkowych, zabijają w nim pogodę ducha oraz radość życia i młodości. Cały sens jego życia, wszelka myśl koncentruje się tylko w jednym wielkim pragnieniu — zdobycia pracy zarobkowej. W tym kierunku też młodociany skierowuje wszystkie swoje siły, cały swój pęd do działania, który jednak skutkiem braku pracy nie może być zaspokojony, a co gorzej, rychło ulega przytłumieniu i powoduje z czasem zanik zdolności do czynu oraz brak odpowiedzialności za postępowanie a raczej tendencję do zrzucenia tej odpowiedzialności. W tym zjawisku mają swe źródło i wytłumaczenia wypowiedzi podobne jak: „już dość mam życia” — „po co ja żyję, tylko innym zawadzam” itp. Brak pracy nie pozostaje też bez wpływu na religijność chłopców. Natrafiłem na takie wypowiedzi a to szczególnie u chłopców pozbawionych właściwego oparcia moralnego, które wyrażają pewne zwątpienie a nawet obojętność religijną: „Już pół roku chodzę po pracę i przed pójściem do biura wstępuję do kościoła i modlę się o uzyskanie pracy a tu zawsze to samo, bez pracy, już nawet modlić się nie warto”. Inny znów tak się wypowiada: „Mówię panu, że już rodzice mi nie każą się modlić, bo i tak nic nie pomoże”. W większości jednak wypadków nie zauważyłem, by brak pracy wpłynął ujemnie na życie religijne chłopca: „Gdybym już nie wierzył, że modlitwa nic nie pomoże, to pracy nie dostanę”, to wypowiedź 15-letniego chłopca — albo: „Mam nadzieję, że Bóg mi dopomoże i znajdę pracę” — „Tak zawsze jednak nie może być, bym pracy nie dostał — jest jeszcze Kto nami się opiekuje”. W tych wypadkach, jak się przekonałem, zasługa, że dziecko się nie załamuje a nadal żyje nadzieją, że będzie lepiej, jest rodziców, którzy wychowują mimo często rozpaczliwej sytuacji materialnej dzieci w duchu religijnym. „Co by to było, gdyby ojciec lub ja nie gnali chłopaka do kościoła, to by z niego Kościół i my mieli wroga” — tak mówi mi matka 14-letniego chłopca.

Na 60 badanych przeze mnie chłopców, 8 tylko było zrzeszonych i to 2 w K. S. M. M. i 6 w harcerstwie; u tych młodocianych-bezrobotnych zaobserwowałem zjawisko wzmożonej pobożności. Niewątpliwie wpływ stowarzyszenia jest tu niezmiernie duży. Pytając się młodocianych, niezrzeszonych, dlaczego nie należą do stowarzyszeń, wykazując im korzyści, jakie wynieść stąd mogą, otrzymałem odpowiedź: „I tak mi żadne stowarzyszenie nie da pracy” — „Jak chcę sobie poczytać lub z kolegami się zobaczyć, to mam dość tu w naszej świetlicy”. Brak więc zupełny zrozumienia idei potrzeby zrzeszenia się. Ci zaś, którzy należą do stowarzyszeń, mówią o wartościach, jakie z nich wynoszą: „Odkąd jestem harcerzem, łatwiej mi pogodzić się, że jestem bezrobotny, nie nudzę się, bo często mam zajęcia różne w świetlicy i dużo się dotąd nauczyłem”; albo: „Co bym robił, gdybym nie należał do K. S. M., chyba na ulicy się włóczył”. Inna wypowiedź młodocianego harcerza: „Może właśnie dlatego, że jestem harcerzem, nie boję się o przyszłość i czekam cierpliwie na pracę”.

Spośród badanych młodocianych-bezrobotnych większa część uczęszczała do świetlicy Funduszu Pracy i z wielkim entuzjazmem o niej mówiła: „Jedynie w świetlicy zapominam, że jestem bezrobotny — bo tu albo czytam lub słucham, co koledzy mi mówią, i wcale mi się nie nudzi” albo „Jak wyjdę z domu rano i przyjdę do świetlicy, to już mi lepiej i weselej, a znowu mi smutno, gdy muszę wracać do domu”. W świetlicy znajdują chłopcy różne kulturalne rozrywki, jest tu i książka, gazeta, czasopisma, gry różne, radio. Wśród licznych zajęć świetlicowych, zwłaszcza praktycznych doznają pewnego zaspokojenia, wzmożona chęć i potrzeba działania młodocianego-bezrobotnego, jego dążność, jego pęd do pracy, który stale się przejawia już to w bezustannym wypatrywaniu pracy zarobkowej, już to w szukaniu jakiegoś zatrudnienia w świetlicy. W czasie badań swych zaobserwowałem, że uczęszczający do świetlicy stanowią element bardziej odporny w borykaniu się z przeciwnościami, nie popadają tak szybko w apatię, wykazują pewną radość życia.

O ile zaś chodzi o bibliotekę Funduszu Pracy, z której młodociani korzystają to podkreślić chciałbym, że książkę młodociany ma prawo zabrać do domu, o ile uważa, że czytając ją w domu więcej skorzysta; dla tych zaś, którzy nie mają możliwości w domu przeczytać, urządzona jest specjalna czytelnia. W przeważnej części powodzenie mają książki krajoznawcze, bo jak twierdzą chłopcy: „Czytając takie książki, dużo mogą się nauczyć a przede wszystkim żyją w innym świecie”. A zatem książka dla młodocianego bezrobotnego jest niejako ucieczką od szarej rzeczywistości. Co się tyczy stanu czytelnictwa wśród młodocianych bezrobotnych, stwierdzić muszę, że stosunkowo mało czytają książki — więcej nęcą ich gry i zabawy. Zamiłowanie w dziedzinie czytelnictwa jest wynikiem braku przygotowania w szkole, zainteresowania lekturą — przyczyna tego zjawiska, jak zauważyłem, tkwi po części i w samym młodocianym, który na przykład twierdzi: „Nie lubię czytać, bo mnie książka nie interesuje”.

Z wielkim entuzjazmem mówią badani bezrobotni młodociani o kinie; oczywiście większa część zachwyca się filmami o treści egzotycz-

nej, sensacyjnej: „lubie chodzić do kina na filmy, gdzie się biją” inny znów „jak mam pieniądze, to lubie chodzić do kina na film życia innych ludów, bo dużo mogę się nauczyć”. Z innych rozrywek kulturalnych jak teatr, koncert, gazeta młodociani nie korzystają. Co młodocianego bardzo interesuje, to sport; spośród 60 badanych nie było wypadku, by ktoś nie umiał wyrecytować składu reprezentacji polskiej czy to chodziło o piłkę nożną, czy lekkoatletykę, boks itp.

Zespół tych czynników, którym młodociany bezrobotny podlega, nie sprzyja jego rozwojowi fizycznemu, jak i duchowemu. Trudno młodocianemu znaleźć jakikolwiek cel w życiu, by stworzyć sobie jakiejkolwiek możliwości pracy, podnieść się na poziom pożytecznego członka społeczeństwa. Nie widzi on możliwości zrealizowania jedyne go swego dążenia — zdobycia pracy, ku któremu skierowuje całą swą energię i wysiłki. Bo tylko praca pozwoli mu się wznieść wyżej i być czymś lepszym. Stąd też zainteresowania jego są zacieśnione, horyzont młodocianego bezrobotnego zamyka się prawie wyłącznie w kręgu własnych i rodzinnych kłopotów i niezbędnych potrzeb życiowych, brak stąd u młodocianych bezrobotnych głębszych myśli przy braku znajomości jakiejkolwiek ideologii społecznej.

W ten sposób warunki i atmosfera, w których młodociany bezrobotny wyrasta, utrudniają względnie uniemożliwiają wytworzenie się w okresie młodości charakteru, a sprawiają, że młodzież skazana na bezrobocie karleje fizycznie i dziczeje duchowo.

Staje się więc koniecznym zajęcie się bezrobociem młodocianych — dostarczenie im zatrudnienia oraz przygotowanie do samodzielnej pracy zarobkowej. Akcję tę podejmuje Fundusz Pracy w Warszawie, otwierając w 1935 r. specjalne pośrednictwo pracy dla młodocianych; by nie dopuścić młodocianych do kontaktu z wyrafinowanymi bezrobotnymi starszymi, u których postawa jest negatywna, chcąc w ogóle uchronić młodocianego od złych wpływów, okazała się potrzeba założenia specjalnego pośrednictwa dla młodocianych. Głównym celem działalności tego biura jest dostarczenie pracy oraz możliwości nauki zawodowej bezrobotnym młodocianym. Z dnia na dzień zgłaszają się całe zastępy młodocianych, pokładając w tym biurze nadzieje i marzenia młodej duszy. Fundusz Pracy czyni duże wysiłki — apelując do pracodawcy o zgłoszenie wolnych miejsc, subsyduje różne kursy zawodowe, sam otwiera kursy jak szkolenie na cholewkarzy, blacharzy karoseryjnych, kursy kelnerów, gazeciarzy itp.

Koniecznym wydaje mi się ożywienie kontaktów z zakładami pracy oraz z organizacjami młodzieżowymi, które by mogły zaopiekować się moralnie zgrupowaną przy oddziale pośrednictwa pracy młodzieżą. Młodociany przed otrzymaniem dowodu zarejestrowania skierowany zostaje do poradni zawodowej, która stwierdza jego stan zdrowia, uzdolnienie zawodowe i wydaje orzeczenie o przydatności badanego do pewnej grupy zawodów. Przy zapośredniczaniu młodocianego do pracy Fundusz Pracy uwzględnia w pierwszym rzędzie wolne miejsce nauki w rzemiośle, handlu i fabryce. O ile młodociany otrzyma pracę o charakterze dorywczym — goniec, reklamarch — Biuro Pośrednictwa Pracy nadal uważa go za poszukującego pracy.

Największym terenem dla pracy młodocianego jest przemysł i handel, dlatego Biuro Pośrednictwa Pracy jest w kontakcie z organizacjami przemysłu i handlu. Specjalna grupa zakładów pracy, które szkołą największą ilość młodocianych, to przedsiębiorstwa państwowe. Fundusz Pracy umożliwia młodocianemu dostanie się do tych zakładów pracy, w końcu umieszcza młodocianego na praktykę w warsztatach rzemieślniczych, co jest specjalną troską Funduszu Pracy ze względu na stałe zmniejszenie się ilości terminatorów, które zostało spowodowane ustawowym obowiązkiem wynagradzania tychże.

Jak wspominałem, Fundusz Pracy organizuje kursy, bądź finansuje już działające, w celu przysposobienia młodocianych w zawodach jeszcze niedostatecznie nasilonych. Również akcję kulturalno-oświatową podejmuje Fundusz Pracy, prowadząc np. świetlice, które otwiera jedynie w okresie oczekiwania na pracę.

W świetlicach tych poza rozrywkami kulturalno-oświatowymi wyświetla się co pewien okres specjalne filmy, ujmujące optycznie wszystkie istniejące zawody, z odpowiednimi objaśnieniami. Filmy te powinno właściwie wyświetlać się w ostatnich klasach szkół powszechnych z specjalnym uwzględnieniem tych zawodów, w których jest małe nasilenie lub brak fachowców. Fundusz Pracy urządza w zakresie szkolenia, kursy jak; metalowców, elektrotechników, szewców itp. i dobrze by było, by tu z pomocą przyszły Kuratoria Szkolne, o ile chodzi o zakładowców, przede wszystkim ze względu na to, by absolwenci tych kursów mieli pewne uprawnienia. Czy urządzenie tak licznych kursów jest wskazane, kiedy bezrobocie młodocianych w tak małym stopniu się zmniejsza? Uważam, że wpierw należałoby ustalić zapotrzebowanie, dopiero następnie dostosować do niego szkolenie, które odbywać się może w szkołach dokształcających zawodowych albo w szkołach fabrycznych.

Rok rocznie przedmiotem zainteresowania czynników, mających za zadanie przysposobienie zawodowe i umieszczenie w zakładach pracy pracowników młodocianych, są cztery roczniki młodzieży. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego przeciętny roczny przyrost naturalny ludności w Polsce wynosi ca 450.000 a więc stała liczba młodzieży w wieku od 15 do 18 roku życia będzie wynosić w przybliżeniu ca 1.800.000. Chcąc teraz osiągnąć liczbę pracowników młodocianych, którymi winny się zaopiekować publiczne biura Pośrednictwa Pracy, należy nasamprzód od liczby 1.800.000 odjąć ca 300.000 młodzieży uczącej się w tym wieku, następnie zaś zważywszy, że w orbitę zainteresowań publicznych biura Pośrednictwa Pracy wchodzi obecnie tylko element miejski — gdyż zagadnienie bezrobocia na wsi musi znaleźć rozwiązanie w innej płaszczyźnie — oraz biorąc pod uwagę stosunek urodzeń na wsi i miastach, otrzymamy, że pracowników młodocianych, nie uczęszczających do szkół i zamieszkających w miastach jest około 300.000. Odliczając zaś 50% od liczby 300.000 na dziewczęta, otrzymamy liczbę 150.000 chłopców. Skreślając następnie ilość chłopców uczących się w szkołach zawodowych dokształcających, a więc pracujących w handlu lub przemyśle oraz ilość młodzieży, pracującej w rzemiośle i chałupnictwie a nie uczących się — tj. mniej więcej 100.000

dochodzimy do tego, że zagadnienie podaży młodocianych w Polsce sprowadza się właściwie do 50.000 chłopców, pozostających bez pracy i możliwości kształcenia zawodowego.

Jak mało zatrudnia się młodocianych, niech świadczy statystyka miasta Warszawy, która wykazuje około 2580 młodocianych zatrudnionych. Oczywiście zgłoszenia te dokonane były tylko przez zakłady większe, poczuwające się do obowiązku zgłoszenia.

Fundusz Pracy dokłada największych starań, by młodocianych zatrudnić, doksztalczyć i wychować na świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli Rzeczypospolitej, dając im jak najlepsze przygotowanie do życia. Zwrócić jeszcze chciałbym uwagę na jedno, mianowicie że doksztalcanie młodocianych w Polsce pozostaje wciąż jeszcze w stadium początkowym. Kształcenie zawodowe, jeżeli ma być naprawdę pożyteczne młodocianemu, musi się wznieść całkowicie ponad dawne poglądy, winno oprzeć się na dobrze zorganizowanym własnym szkolnym warsztacie zmechanizowanym, bez którego w ogóle upada sens szkoły zawodowej. Warsztat rzemieślniczy czy fabryczny nie jest już dziś odpowiednim terenem nauki dla młodocianego robotnika, nauka ta winna być przeniesiona poza obręb warsztatu do odpowiednich szkół gdzie metoda nauczania jest fachowa i przystosowana do nowoczesnych potrzeb produkcji. Bo wiadomą jest rzeczą, że nauka w fabryce nie przyczyni się do znacznego przysporzenia wiadomości uczniom. Nikt nie ma właściwie czasu ani ochoty zająć się nauką ucznia.

W warunkach obecnych sytuacja młodocianych na rynku pracy jest bardzo trudna. Nie można jednak się tym zrażać. Osiągnięcie rzeczywistej poprawy bytu młodocianych, zdobycie dla nich pracy, uzależnione jest przede wszystkim od przyspieszenia uprzemysłowienia kraju. W tym uprzemysłowieniu jednak ważną rolę odegrać może podniesienie wykształcenia zawodowego w szerokich masach. Jedno z drugim się ściśle łączy. Wielkiej to więc wagi problem społeczny.

Kongres w sprawie powrotu matki do ogniska domowego.

W dniach 20 do 24 czerwca obradował w Lille, w związku z odbywającą się tamże wystawą postępu społecznego, kongres w sprawie powrotu matki do ogniska rodzinnego, zwołany przez bardzo ruchliwe od kilku lat działające francuskie Stowarzyszenie dla powrotu matki do ogniska domowego. W tym kongresie brała też wybitny udział Polska. Tak np. wstępny referat nt.: „Ogół dokonanych na rzecz powrotu matki do ogniska rodzinnego prac w poszczególnych krajach od Międzynarodowego Kongresu w czerwcu r. 1937”, wygłosiła b. posłanka p. Wanda Ładzina. Poza tym też przemawiała na temat osiągnięć w Polsce w tym kierunku p. Kwiatkowska. Z innych referatów wymienić należy przede wszystkim referat J. Zamańskiego (potomka emigrantów polskich) pt.: „Jakie należy podejmować starania, by uczynić zadość potrzebom ekonomicznym, społecznym i moralnym rodzin, w których matka ma spełnić swoje posłannictwo?” Poza tym poruszyły więcej zasadnicze sprawy takie referaty: „Wczasy matki z ogniska domowego” i „Wpływy pracy przemysłowej matki na zdrowie dzieci”. Kongres zakończył się publicznym meetingiem, urządzonym pod hasłem: „Matka, mogąca wypełnić swe posłannictwo to rodzina szczęśliwa, zjednoczona, płodna w ustroju społecznym lepszym, bo bardziej chrześcijańskim”. Na meetingu tym przemawiała również p. W. Ładzina.

Walka z bezrobociem wśród młodzieży belgijskiej.

Wśród krajów, dotkniętych klęską bezrobocia, zajmuje specjalne miejsce Belgia z racji swej celowej i intensywnej walki z bezrobociem wśród młodzieży.

Według danych z września r. u. było tam mniej więcej 32.000 bezrobotnych poniżej 25 lat, w tym 25.000 mężczyzn i 7.000 kobiet. Jeżeli zaś odciągniemy od tej liczby tę młodzież, która pozostaje bez pracy poniżej 6 miesięcy, to otrzymamy około 20.000 prawdziwych czyli stałych bezrobotnych młodocianych. Jest to cyfra w stosunku do ogółu ludności Belgii wysoka.

Walka więc z tym bezrobociem wśród młodzieży belgijskiej toczy się na całej linii zarówno z strony władz rządowych, jak i odpowiednich organizacji społecznych.

Wśród tych ostatnich szczególnie wyróżnia się akcja, prowadzona przez znane szeroko, Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Robotniczej, ów popularny J. O. C.

Jak wiadomo, Stowarzyszenie to, któremu Pius XI nie wahał się dać świadectwa, że przedstawia ono typ doskonały (un type achevé) Akcji Katolickiej, zwraca bardzo pilną uwagę na problemy społeczne i gospodarcze, wiążące się z młodzieżą robotniczą. Przejawem takich jego zainteresowań jest m. i. na tle obecnego bezrobocia szeroko zakreślona akcja poradnictwa zawodowego. Prowadzi więc ono w obecnej chwili 24 biur poradnictwa zawodowego. Biura te nie tylko trudnią się pośrednictwem pracy, wskazując młodzieży wolne miejsca pracy, lecz badają również młodocianych w tym kierunku, jakie posiadają oni zdolności i w których zawodach mieliby najlepsze widoki. Bada się zaś nie tylko osobiste uzdolnienia, ale również uzdolnienia związane z środowiskiem rodzinnym, mianowicie moralne i zdrowotne warunki, choroby dziedziczne itp. Zasięga się także informacyj u kierowników organizacji, do której badany należy, czy wykazywał on jakieś specjalne właściwości, jak i w szkole oraz u wychowawców. Specjalną uwagę poświęca się badaniom lekarskim i inteligencji. Badanie inteligencji ma charakter egzaminu psycho-technicznego i obejmuje zarówno rozwój władzy rozumowania, jak i zdolności reagowania. Dopiero po przeprowadzeniu tych wszystkich badań łączy biuro pojemność rynku pracy z ich wynikami i wydaje swą opinię.

Bardzo więc grutowną pracę wykonuje to Stowarzyszenie w dziedzinie pośrednictwa zawodowego a w związku z tym na polu walki z bezrobociem wśród młodzieży.

O ile chodzi o inne sposoby tej walki, to aktualnie toczy się w Belgii żywa dyskusja nad problemem przedłużenia obowiązku szkolnego młodzieży, które by przyczyniło się wydatnie do obniżenia liczby młodocianych bezrobotnych. Obecnie w Belgii rozciąga się obowiązek szkolny na dzieci w wieku od 6—14 lat, w niektórych jednak okolicach kraju mogą być dopuszczone do nauki zawodowej pod pewnymi warunkami osoby z ukończonym 12 rokiem życia. W związku z tym wysuwa się projekt przedłużenia obowiązku szkolnego, co spotyka się jednak z pewnym sprzeciwem. Sprawa ta stoi zaś obecnie tak, że przedłużenie tego obowiązku zdaje się już nie ulegać kwestii. Częściowo nawet to przedłużenie obowiązku szkolnego jest faktem dokonany. Dekret królewski bowiem z 31 lipca 1935 przewiduje, że młodociani poniżej 18 lat, nie mający zajęcia, mogą być zobowiązani uczęszczać przez 2 lata na kursy szkoły powszechnej, technicznej, zawodowej lub gospodarczej. Przepis ten ma jednak tylko charakter przejściowy i traci ważność z końcem roku szkolnego 1938/39.

Konieczność zwalczania bezrobocia wśród młodzieży doprowadziła też do stworzenia szeregu szkół zawodowych zarówno dziennych, jak i wieczornych, prowadzonych przez samorząd prowincjonalny i gminny oraz przez instytucje kościelne i świeckie. Akcja ta przybrała szerokie rozmiary, jak o tym świadczy liczba 114.000 uczniów i uczennic szkół wieczornych. Uczęszczanie do tych szkół ma charakter dobrowolny, lecz coraz więcej zaznacza się tendencja przyznawania zasiłków bezrobocia tylko tym młodocianym, którzy pilnie uczęszczają na te kursy uzupełniające.

Dla bezrobotnych zaś w wieku od 17 do 25 lat istnieją specjalne kursy przeszkolenia zawodowego z uwzględnieniem tych zawodów, w których zaznacza się brak sił kwalifikowanych. Uczestnicy tych kursów otrzymują nawet pewne małe wynagrodzenie. Ostatnio wprowadzono drogą dekretu królewskiego nawet obowiązkowe przeszkalanie bezrobotnych. Biura bowiem pośrednictwa pracy mogą zażądać od bezrobotnych przejścia — pod grozą utraty lub zawieszenia wypłaty zasiłku bezrobocia — przez przeszkolenie zawodowe. To przeszkolenie może mieć miejsce albo bezpośrednio w fabryce albo też w specjalnych kursach szkół zawodowych.

Z działalności naszych organizacji oświatowych

Sprawozdania roczne za rok 1930 naszych dwóch wielkich organizacji oświatowych, Towarzystwa Czytelni Ludowych i Polskiej Macierzy Szkolnej dają taki obraz ich działalności:

T. C. L. prowadziło 394 bibliotek stałych i 1420 bibliotek ruchomych. W wszystkich tych bibliotekach były 498.092 tomy. Korzystało zaś z bibliotek 126.853 czytelników, przy czym liczba wypożyczeń wynosiła 2.275.218 książek. Jedna więc książka była w ciągu roku 4—5 razy wypożyczona. Nowych książek przybyło bibliotekom 29.239 o wartości 119.613 zł. Czytelni czasopism i świetlic istniało przy bibliotekach T. C. L. 178.

Z innych działów pracy oświatowej należy wymienić 2.066 wykładów i odczytów oraz około 900 wieców oświatowych. Kina stałe i objazdowe miały 1409 seansów.

Kursów bibliotekarsko-oświatowych urządzono na Pomorzu 5 z 155 uczestnikami, w województwie poznańskim 2 z 43 uczestnikami, w województwie śląskim 4 z 180 uczestnikami.

Dwa Uniwersytety Ludowe w Dalkach pod Gnieznem i w Bolszewie na Pomorzu miały 51 uczestników.

Kół T. C. L. było 445 z 25.425 członkami.

Bilans za rok 1938 zamknął się sumą 566.100,28 zł.

Polska Macierz Szkolna w przeciwieństwie do T. C. L. kładzie główny nacisk na akcję szkolną. W roku 1938 prowadziła ona 300 szkół powszechnych, 10 szkół średnich ogólno-kształcących i 36 zawodowych. Wszystkie szkoły razem liczyły 21.348 młodzieży.

Bibliotek stałych liczyła P. M. S. 422 a bibliotek ruchomych 1964. Wszystkie te biblioteki miały razem 640.921 książek. Korzystało z nich 53.005 czytelników, liczba zaś wypożyczeń wynosiła 1.352.395.

Poza tym prowadziła P. M. S. 10 burs, 27 ochron, 52 półkolonii.

W dziedzinie oświaty pozaszkolnej może P. M. S. wykazać się 302 kursami dla przedpoborowych i dorosłych z 5122 słuchaczami i 1456 wykładami dla 128.368 słuchaczy. Kół P. M. S. było w roku sprawozdawczym 268 i 37.384 członkami, co oznacza w stosunku do roku poprzedniego wzrost o blisko 10.000.

Bilans za r. 1938 wykazuje 4.021.904,31 zł w pozycji dochodów a 3.944.834,68 zł w pozycji rozchodów.

W OBRONIE PRZED SPRAWOZDAWCAMI

Jest zwyczaj, że autor krytykowanego tekstu mający pretensje do swoich krytyków zwraca się z odpowiedzią do czasopism, w których ukazały się głosy krytyczne. Od tego zwyczaju muszę tym razem odstąpić, ponieważ nie mam dostatecznego zaufania do czasopism, czy umieściłyby moją odpowiedź, skoro a) dopuszczają do takiego sposobu zdawania sprawy z moich artykułów i takiego sposobu ich oceniania, który — moim zdaniem — nie przystoi szanującemu się czasopismu, b) głosy krytyczne o moich artykułach ukazują się nie w dziale recenzyjnym, tylko w dziale sprawozdawczym, w którym na ogół przewiduje się jedynie informowanie czytelnika o treści publikacji, nie przewiduje się zaś ich oceny.

Przed kilku laty sprawozdania z prasy oświatowej pisała w „Pracy Oświatowej” p. Borkowska-Nexlenowa, systematycznie podając cytowane zdania z moich publikacji w przekręceniu. Wybrałem wtedy łagodną drogą reakcji, zwracając się do recenzentki listownie, co jednak nie powstrzymało jej od dalszego przekręcenia moich twierdzeń. Ponieważ cała ta sprawa odnosi się do przeszłości sprzed kilku lat, nie mam obecnie ochoty zajmować się nią szczegółowo, a uczynię to jedynie w odniesieniu do dwu moich krytyków z ostatniego czasu.

W numerze 1. 1939 r. sprawozdawca prasowy p. Witold Rodziewicz zamieścił w „Oświacie Pozaszkolnej” następujące słowa: „M. Wachowski w artykule: niedostatek wychowawców w akcji oświatowej (Przewodnik Społeczny Nr. 10) uwidocznione w tytule zagadnienie rozwija w sposób następujący: — „Pod pojęciem wychowania rozumiemy oddziaływanie jednej jednostki na drugą.

W akcji społecznej odczuwamy dotkliwy brak dostatecznej liczby wychowawców”. To wszystko.

Jeżeli krytyczny czytelnik takiego „sprawozdania” wytrwa w zaufaniu do „sprawozdawcy”, musi pomyśleć najgorsze rzeczy zarówno o referowanym artykule, jak i o jego autorze. Musi go zaniepokoić to, po co w ogóle potrzebna jest autorowi definicja wychowania, gdy chce mówić o niedostatku wychowawców w akcji oświatowej, dlaczego wybiera tak nędzną definicję, jak lichy jest poziom myślenia autora, jeżeli on „rozwija” zagadnienie uwidocznione w tytule w ten sposób, że po prostu powtarza zawarte w tym tytule twierdzenie i jeżeli z definicji wychowania wyprowadza wniosek o istnieniu braku wychowawców w akcji „społecznej”.

Tymczasem rzeczywistość przedstawia się w sposób następujący: W artykule moim, który liczy blisko 7 stron wielkiego formatu, nie występuje żadne ze zdań, które autor sprawozdania podaje jako cytaty z mojego tekstu, tymbardziej oczywiście nie występują te zdania razem, jak to podaje „sprawozdawca”. W artykule, o którym mowa, nie zajmuję się w ogóle definiowaniem wychowania. Przytoczona definicja ani jest zgodna z moim poglądem, ani nigdy takiej definicji nie wypowiadałem, ani też z tekstu nie można wywnioskować, bym taką definicję uważał za słuszną. W artykule zajmuję się jedynie akcją oświatową, a nie „społeczną” w ogóle.

Stwierdzając tak liczne rozbieżności między artykułem a sprawozdaniem z niego, mam prawo wątpić, czy „sprawozdawca” w ogóle czytał mój artykuł.

Przystępuję teraz do „sprawozdania” jakie zamieścił p. Mleczko w 5-tym numerze b. r. w „Pracy Oświatowej” z mojego artykułu o większości w uniwersytecie ludowym. P. Mleczko nazywa mój artykuł „głosem denerwującym”. Że mój artykuł naprawdę denerwował p. Mleczkę, o tym świadczy dobitnie podenerwowany ton jego „sprawozdania”, który nie wystawia pochlebnego świadectwa systemowi nerwowemu krytyka, jeżeli jego

równowaga duchowa doznała zachwiania po przeczytaniu artykułu, tak jego zdaniem lichego, że nie zasługującego na sumienne zreferowanie, skoro krytyk nie daje dokładnego a zwięzłego streszczenia.

Sprawozdawca mój wydaje się zagniewany na mnie, że w artykule moim „mammy do czynienia nie tyle z myślą naukową, spokojną, wszechstronną i bezstronną, ile raczej ze stanowiskiem ideologicznym, któremu autor stara się nadać charakter teoretyczno naukowy”. Wyjaśniam, że jedynie zaufanie do krytycyzmu czytelnika powstrzymało mnie od wyrażonego zaznaczenia, że nie pojmuję mojego artykułu jako rozprawy naukowej. Mówię w nim przecież tak często o tym, co być powinno, a to chyba nie jest myślenie naukowe, raczej, jak to krytyk bystro zauważył, zajmuję w nim stanowisko ideologiczne. Nie mogłem jednak oczekiwać, że takim postępowaniem narazę się na gniew sprawozdawcy, nic mi też nie wiadomo o tym, by „Praca Oświatowa” była czasopismem naukowym pozbawionym zabarwienia ideologicznego. Chętnie przyznaję, że artykuł mój pozbawiony jest tego spokojnego tonu, którym odnacza się sielanka. Powstał on na tym podłożu, że z różnych stron dochodziły mnie strzępy pewnych praktycznych rozumowań na temat wiejskości uniwersytetu ludowego. Ostatnio wykryłem kilka z nich w „Biuletynie” poświęconym konferencji w sprawie uniwersytetu ludowego. Wydawało mi się, że zawarte w nim głosy nie rozwiązują sprawy wiejskości w sposób jasny. Próbowałem wobec tego uporządkować sobie tę kwestię bez nadziei, że uda mi się ją wyczerpać. Wyobrażałem sobie przy pisaniu artykułu, że jestem jakby nieobecny uczestnikiem dyskusji prowadzonej na owej konferencji, na której nie byłem z braku zaproszenia, podkreślałem też w artykule dostatecznie często, że ma on charakter dyskusyjny, przyznaję nawet zupełnie otwarcie, że w artykule z niektórymi kwestiami wiejskości nie umiem sobie dać rady. Wobec tego cały szereg pretensji „sprawozdawcy” wydaje mi się niezrozumiały. Pisze mój sprawozdawca: „Autor napomyka o ideale ponadwieskim, nadrzednym, lecz w końcu nie umie lub nie chce wypowiedzieć się jasno na ten temat”. Wyznaję otwarcie, że „nie umie”, i że odnosi się ta moja niedola wcale nie wyłącznie do końca moich uwag, ale dotyczy wszystkich szczegółów idei wiejskości w uniwersytecie ludowym, że w ogóle zagadnienie to jest dla mnie

nierozwiązane, a mój artykuł pojmowałem jako rozpoczęcie dyskusji. Że daleki jestem od złudzeń, by mój artykuł wyczerpywał sprawę wiejskości, o tym wyraźnie świadczy moje zdanie: „przechodząc od zagadnień celu z wyrażonym poczuciem ich niewyczerpania...”.

Przypisując artykułowi charakter dyskusyjny, starałem się gromadzić trudności, które nie pozwalają mi rozwiązać tego zagadnienia tak, jak to czynią niektórzy, wypowiadałem wprawdzie znaczną ilość tez, ale rzadko kiedy je udowadniałem. Tymczasem „sprawozdawca” dwukrotnie pisze o moim dowodzeniu, a raz nawet, że daje „całą serię dowodów na niekorzyść tej właśnie wiejskości”.

Tego rodzaju twierdzenie „sprawozdawcy” jest zbyt poważnym zarzutem, żeby można było wypowiedzieć bez podania powodów. Nie wiem, czy wystarczą apodyktyczne sądy czytelnikom „Pracy Oświatowej”, ja przynajmniej wołałbym, aby krytyk uzasadniał swoje zarzuty.

„Z całą pasją udowadnia teraz Wachowski, że wiejskość w programie uniwersytetu ludowego to nawrót do pańszczyzny, a więc tym samym sprzeczność sama w sobie”. Zdanie to zawiera kilka sądów zgóło nieprawdziwych, ponieważ 1. w całym artykule nie mówię w ogóle o systemie poddańczo-pańszczyźnianym; który nie utożsamia się z pańszczyzną; 2. o systemie tym wspominam w związku z celami w tej części artykułu, w której mówię o celach, wyraźnie też odgraniczam w specjalnym zdaniu część traktującą o celach od części poświęconej programowi, w ostatniej zaś części nie piszę nic o systemie poddańczo-pańszczyźnianym, gdyby więc mój sprawozdawca nie miał pojęcia różnicy między celem a programem, to moje ograniczenie obu części powinno było mu wystarczać, aby nie mieszać jednego z drugim; 3. w całym artykule nie ma niczego, co by uprawniało do twierdzenia, że wiejskość w uniwersytecie ludowym jest nawrotem do systemu poddańczo-pańszczyźnianego; 4. nie piszę nic o tym, jakobym uważał, że taka wiejskość jest sprzecznością sama w sobie, wprost przeciwnie; sądzę, że wieś w systemie poddańczo-pańszczyźnianym była również wiejską, a wobec danych powyższych jest rzeczą niemożliwą, abym z utożsamiania wiejskości w programie uniwersytetu ludowego z nawrotem do pańszczyzny wyprowadzał wniosek, że

wiejskość jest sprzecznością sama w sobie.

Sprawozdawca nastroiwszy czytelnika negatywnie do wartości mojego artykułu, cytuję moje zdanie o Grundtvigu, że on traktował zawsze lud jako częśćkę narodu. Zdanie to pozostawia sprawozdawca bez własnych uwag, a cytując je wstawia po terminie „częstkę” swój wykrzyknik. Jestem w kłopotcie, nie wiem bowiem, czym naraziłem się sprawozdawcy, czy tym, że takie stanowisko przypisuję Grundtvigowi, czy też tym, że takie jest jego stanowisko.

W ogóle rozumiejąc dobrze, że naraziłem się na gniew sprawozdawcy, nie wiem, co po w artykule dotknęło. Liczę się z możliwością, że sprawozdawca nie podziela mojego postulatu, aby podawane uczniom wiadomości o wsi były prawdziwe, wiem bowiem, że prawdziwość nauczania nie każdemu jest wygodna, szkoda tylko że sprawozdawca nie powiedział wyraźnie, co mu się nie podoba.

Sprawozdawca odmawia mi w końcu kompetencji do wypowiedzania sądów o wsi, pisząc, że mnie z wsią absolutnie nic nie łączy. Nie mam nic przeciw takiemu zarzutowi prócz jednej drobnostki: trzeba go uzasadnić, czego krytyk nie czyni.

„Uniwersytety pracują... i pracować będą bez względu na to, do jakich wniosków dojdzie Wachowski na temat ich wiejskości. Domaga się bowiem „rzetel-

nego uczuciowego związania z wsią, a wreszcie możliwie dokładnego uświadomienia ideału wsi oraz woli w kierunku urzeczywistniania tego ideału”. Przyznaję, że nie zaprzątałem sobie głowy tym, co uczynią uniwersytety ludowe w Polsce z moimi uwagami, jedno mnie tylko zdumiewa w przytoczonym wyżej zwrocie. Termin „bowiem” w zdaniu drugim odnosić się może tylko do treści zdania pierwszego, wobec czego wychodzi na to, że uniwersytety polskie właśnie dlatego będą pracowały bez względu na to, co ja sobie o nich pomyślę, ponieważ ja się demagam „rzetelnego uczuciowego związania z wsią...”. Czy naprawdę właśnie to chciał powiedzieć p. Dr Mleczko?

Pisząc mój artykuł, nie spodziewałem się wcale, że wszyscy zainteresowani pokiwają głową na znak aprobaty, wprost przeciwnie liczyłem na to, że może znajdzie się ktoś, kto zechce moim poglądom przeciwstawić zdania odmienne, a więc dyskutować ze mną. P. Dr Mleczko nie czyni mi tego zaszczytu, wybiera za to drogą szczególnie łatwą: wypowiada ocenę mojego artykułu bez uzasadniania i podaje czytelnikowi fałszywe wiadomości o treści artykułu. Albo p. Mleczko nieudolnie pisze sprawozdania, albo też gniew bezsilności wobec braku własnych argumentów skłania go do mieszania sprawozdania z napaścią, nie przebieającą w środkach.

Marian Wachowski.

K.

CHWILA PRZEŁOMOWA

Polska znalazła się w chwili przełomowej swych dziejów. Rozpoczyna się dla niej nowy okres jej bytu. Ten okres bowiem, który przeżywamy, wytycza jej nowe koleje, zwraca ją na nowe tory.

Wielkim wstrząsem drży dziś cały świat. Zawisła nad nim groźba burzy wojennej. I rozumie to każdy, że skoro ta burza wojenna się zerwie, to rozpęta się ona z niesłychaną gwałtownością i przewyższy w swym szaleństwie i swej grozie wszystkie inne dotychczasowe wojny; spustoszenia wojny światowej, która właśnie 25 lat temu wybuchła, będą wobec jej rozmachu niszczycielskiego bardzo błado wyglądały. Z troską więc wielką spoglądamy w przyszłość, co ta przyniesie.

Lecz niezależnie od tego, czy zetrą się narody w krwawych olbrzymich zmaganiach i zerwie się dzika wichura wojenna, niepohamowana w swym okrucieństwie czy też uda się zapobiec w ten lub ów sposób tej katastrofie, dla Polski nadchodzi okres zwrotny jej dziejów.

Przecież polska sprawa, można śmiało powiedzieć, jest przyczyną tego wstrząsu, co świat cały a przede wszystkim Europę ogarnął i do głębi poruszył. A ta polska sprawa stała się, nie ma żadnej przesady w tym powiedzeniu, sprawą europejską, światową nawet. Bo mszczą się obecnie błędy tych krótkowidzów, co po wojnie światowej pokój układali z pokrzywdzeniem czy choćby z zlekceważeniem praw i interesów Polski. Gdyby traktat wersalski, jak to w pierwszym jego projekcie było przewidziane, był oddał Gdańsk całkowicie w ręce Polski, nie groziłaby obecnie brutalna zaborczość niemiecka pokojowi świata. Polska, przeciwstawiając tej zaborczości gromkie i jak najbardziej stanowcze: stój, nie wolno dalej! broni nie tylko swoich praw i swoich ziem, nie tylko swej niepodległości i swej niezależności, lecz także stanęła na straży bezpieczeństwa i wolności innych narodów Europy, nawet potężniejszych i silniejszych od niej. Prawda ta unaocniła się z całą wyrazistością tym narodom i ich rządcom. Stanęły one przy boku Polski stanowczo i zwarfie, lecz nie z bezinteresownej miłości ku niej, by ją ratować w ciężkiej potrzebie, lecz przede wszystkim dlatego, że broniąc Polski bronią siebie i bronią najświętszych zasad uczciwości i poszanowania prawa w stosunkach między ludźmi i ludami, tamę stawiają przeciw ohydnemu gwałtowi, co w niepohamowanym rozpędzie chciałby rabować, co mu się tylko pod rękę nawinie. Polska jest tą pierwszą strażnicą, przeciw której

ten napór bezprawia i gwałtu się zwraca, ona osłania pierwsza przed nim Europę. Stała się ona tym najdalej wysuniętym bastionem obronnym, na którego podtrzymaniu musi jak najbardziej zależeć narodom Europy.

Ta wielka więc i ciężka próba, w jakiej Polska się znalazła, stając najbliższej wobec groźby wojny strasznej, wyniosła niezmiernie jej znaczenie, otworzyła, można powiedzieć, światu całemu oczy na jej rolę i wagę w Europie, pokazała, że nasze wskrzeszone państwo to filar potężny i jak najbardziej potrzebny w tym całym zespole narodów, w nowoczesnym ich politycznym ukształtowaniu. Stwierdziła ta próba konieczność niezbędną Polski, jej jak największą potrzebę, wykazała jak najwyraźniej, jak bardzo brak było przez blisko 150 lat niepodległego i silnego państwa polskiego. Historia Europy a i innych części ziemi wzięłaby zupełnie inny obrót, gdyby na mapie ziemskiej przez tak długie lata nie było brak imienia Polski, prawda ta bezsporną stała się dla świata w ostatnich miesiącach.

Otóż dlatego nasamprzód należy te chwile obecne napięcia wojennego uważać za przełomowe dla Polski.

Polska wojny nie pragnie, nie dąży do niej celowo i świadomie, lecz jej się nie boi, odrzuca myśl uniknięcia jej za wszelką cenę. Świadoma jest bowiem tego, że z tych zmagających wojennych wyjdzie w końcu zwycięsko, choć to zwycięstwo musiałaby okupić nadzwyczajnymi ofiarami, choć kosztowałoby ją ono długie miesiące wielkich cierpień i strasznych trudów. A wojna zwycięska to niesłychany wzrost potęgi Polski, to ugruntowanie jej jako jednego z pierwszych mocarstw nie tylko w Europie, lecz na całym świecie. Wojna bowiem w wyniku swym musi przynieść ostateczne rozgromienie wroga, co kilkanaście wieków już Ojczyźnie naszej jako wysuniętej strażnicy Słowiańszczyzny na zdradzie jest, ostateczne odepchnięcie parcia niemieckiego na wschód, ostateczne rozstrzygnięcie odwiecznych sporów między Polską a Niemcami. Bo już nie powtórzą się te błędy zwycięzców z wojny światowej, które pozwoliły w kilkunastu latach wyrośnięć Niemcom na potęgę, co całemu światu zagraża i jego pokój na szwank narażać może. Wojna zwycięska wysunęłaby Polskę na trzecie lub czwarte miejsce w Europie, po Anglii, Francji i może jeszcze Włoszech, zależnie od tego, jak te ostatnie w czasie ew. wojny by się zachowały. Do tego miejsca miałaby Polska prawo zarówno ze względu na swój powiększony obszar i pomnożoną liczbę ludności, gdyż niewątpliwie odzyskałaby ona resztę niewyzwolonych ziem polskich oraz zdobyłaby znacznie obszerniejszy dostęp do morza, jak i na skutek wzrostu znaczenia swego imienia i swego wpływu. W ten sposób wróciłaby Polska, do tej roli, jaką odgrywała kiedyś za czasów królów jagiellońskich.

Nie próżne więc byłyby te ofiary nadzwyczajne, te ogromne cierpienia, jakie przyniosłaby z sobą wojna.

Właściwie jednak wojna już się toczy, jakkolwiek bez krwi przelewów jeszcze. Wielkie narody europejskie zmagają się z sobą w boju olbrzymim, choć armie ich bezpośredniego udziału w nim jeszcze nie biorą. Mówi się bowiem o tzw. wojnie nerwów, jaka rozgorzała między Polską, Anglią i Francją z jednej a Niemcami i Włochami z dru-

giej strony. Chodzi o to, kto w tej wojnie nerwów silniejszym będzie, która strona okaże więcej wytrzymałości, odwagi, stanowczości, opowania siebie, zręczności. Niemcy bowiem poszły niewątpliwie na drogę wymuszania i zastraszania. Dotychczas udawało im się groźbą i pobrzękiwaniem oręża osiągać nadspodziewanie wielkie korzyści i zdobycze. Sądziło, że i Polska się ułęknie, ustąpi i zgodzi się na ich plany zaborcze. A gdy nasz rząd z góry odrzucił, bo inaczej być nie mogło, ich pretensje, zdziwili się wprawdzie bardzo, gdyż na odmowę nie byli przygotowani, lecz to bynajmniej ich nie powstrzymało od tym silniejszego wysuwania ich zaborczych a raczej łupieżczych żądań. Licząc oni na to, że tymi ciągłymi żądaniem, popieranymi do tego groźbami wojennymi, wymęczą Polskę, osłabiają jej odporność, zmniejszają wytrzymałość i doprowadzą w końcu ją do uległości. Z drugiej strony wychodzą oni na to, że te państwa, które stanęły przy nas w tych ciężkich chwilach i przyrzekły nam swą pomoc przeciw ich pożądlivości zaborczej, też się w końcu znudzą i po pierwszych tygodniach czy miesiącach zapału dla nas ochłoną, by dojść do przekonania, że niewarto właściwie dla Gdańska i korytarza pomorskiego rozpętywać wojny światowej, która nałożyłaby im olbrzymie ofiary. W następstwie tego zmuszą one, takie są kombinacje niemieckie, Polskę do ustępstw wobec Niemiec odmawiając jej swej pomocy, podobnie jak to się stało wobec Czechosłowacji. I dlatego robią Niemcy taki hałas i wrzask oraz straszą swymi planami i przygotowaniami wojennymi.

Toczy się więc już wojna rzeczywista, prawdziwa, choć na razie jeszcze bezkrwawa, wojna nerwów. Przegranie jej musiałoby nam przynieść straszną klęskę.

I pod tym więc względem znalazła się Polska w chwili przełomowej. Jak największego napięcia uwagi, przezorności, roztropności, woli, wytrwałości nam trzeba, by z tej wojny nerwów wyjść zwycięsko. A od postawy naszej zależy postawa naszych sojuszników i sprzymierzeńców. Nie będą oni bowiem pomagali Polsce o słabej, chwiejnej woli, trwożliwej, lękliwej, porywczej, niewytrwałej, mało stanowczej.

Jak obecnie zaś sprawa wygląda, wszystkie dane przemawiają za tym, że odniesiemy i tu pełne zwycięstwo. Postawa bowiem społeczeństwa polskiego w obliczu tych wielkich niebezpieczeństw jest nadzwyczajna, ożywia ją, jak to się wszędzie rzuca w oczy, wspaniały duch.

A zwycięskie przetrwanie tej wojny nerwów oznacza wielką przyszłość Polski. To zwycięstwo wprawdzie nie przyniesie nam, na razie przynajmniej, zdobyczy terytorialnych, nie rozszerzy naszego dojścia do morza, nie pomnoży liczby mieszkańców Polski, lecz mimo to wzmocze niebywale jej potęgę. I bez aureoli zwycięskich bitew i bez nowych ziem wysunie się Polska znacznie naprzód w zespole narodów i państw świata. Zwycięska obrona jej praw, jej skuteczny, powodzeniem uwieńczony opór podniosą jej znaczenie, bo wywołają powszechne dla niej uznanie, wzbudzą wielki szacunek dla jej wartości, okazanych w ciężkich chwilach próby, przekonają narody świata, że „Polska to wielka rzecz”. Wrażenie, że „Polska nie dała się”, będzie miało prze-możny wpływ na ustosunkowanie się do niej opinii całego świata. I ona sama poczuje się silniejszą, mocniejszą, potężniejszą, zwartszą,

bezpieczniejszą. Z jej głosem będą musieli się liczyć i najpotężniejsi, zniknie to lekceważenie, z jakim dotychczas tu i owdzie do niej się jeszcze odnoszą. Słowem, Polska wkracza między wielkie mocarstwa świata.

Opatrzność Boża, która przeprowadziła Ojczyznę naszą poprzez długie lata niewoli i rozczłonkowania, jest dla niej wielce miłościwa. Odzyskania przecież niepodległości poprzez tak dziwną klęskę wszystkich trzech państw zaborczych nie można inaczej nazwać jak cudem zmartwychwstania.

Teraz zaś ta chwila próby wielkiej to niebezpieczeństwo, jakie Polsce zagroziło, toruje jej drogę do wielkości, utrwala jej wyzwolenie. Tym większy jednak musi być nasz trud, tym silniejsza nasza wola, tym niezłomniejsza nasza wytrwałość, tym radośniejsza nasza ofiarność. Bo Opatrzność nie daje nic narodom za darmo.

W. K.

BŁĘDY WYCHOWAWCZE

W życiu narodów i państw odgrywa wielką rolę rodzina. W niej przychodzi na świat przyszły członek społeczeństwa i Kościoła, w niej wzrasta jednostka, która do zbiorowości wnieść może dużo dobrego lub dużo złego. Zanim wyrośnie na pełnego obywatela, dziecko zetknie się niewątpliwie w swym życiu jeszcze z różnymi innymi czynnikami, które pośrednio lub bezpośrednio wywrą wpływ na jego kształtowanie się duchowe i fizyczne. Jednakże rola domu rodzinnego jest również bardzo doniosła, ważna i odpowiedzialna. Ojciec i matka są bowiem pierwszymi wychowawcami. Ich obowiązki nie ograniczają się do żywienia, przyodziewiania, leczenia dziecka, lecz obejmują również świadomą działalność wychowawczą. Różne utarły się poglądy. Są tacy, którzy mówią: „Po co wychowywać, jeśli dziecko ma być dobre, to, i tak będzie dobre, a jeżeli ma być złe, to i rodzice na to nie pomogą”, czyli „dobrego karczma nie zepsuje, a złego kościół nie naprawi”. — Ten pogląd jest zupełnie błędny.

Dziecko przychodzi na świat z różnymi skłonnościami, do dobrego i złego, które przerodzą się z czasem w zalety lub wady. Na razie te cechy wrodzone nie są wyraźnie ukształtowane i rozwiną się dopiero z czasem, równomiernie z wiekiem dziecka. Największym obowiązkiem rodziców jest więc troska, by dobre skłonności rozwijały się jak najlepiej, a złe wyginęły. Wady dziecka to jakby chwasty wśród pól. Nie tylko, że nie przynoszą korzyści, a jeszcze szkodzą, bo nie pozwalają rozwijać się swobodnie dobremu ziarnu. Zanieczyszczone pola przez umiejętną uprawę zamienić możemy na żyzny kawałek ziemi, tak samo przy właściwym i starannym kierowaniu z małego nicponia wychować możemy porządnego i dzielnego człowieka. Nie każde dziecko jest podobne do drugiego, nie każde jest równo wyposażone przez naturę, nie każde ma te same zalety i te same wady. Inaczej trzeba postępować z Jasiem a inaczej ze Stasiem, inaczej kiedy jest małe i inaczej, gdy podrośnie. O tym rodzice powinni pamiętać i tym się kierować.

Tymczasem życie wykazuje na każdym kroku, że obowiązki wychowawcze rodziców nie są w zgodzie z rzeczywistością wychowawczą. Zresztą nie ma się czemu dziwić. Nikt przecież nie uczył ojca i matki, jak mają postępować. Toteż nie zastanawiając się długo w ogromnej większości, czerpią wskazówki wychowawcze z przekazanych tradycji, przyjmując nie tylko to, co dobre, ale i to, co złe. W rezultacie pokolenie po pokoleniu popełnia te same odwieczne błędy.

Przypatrzymy się niektórym, bo może nam to się przydać.

Przed kilku dniami byłam świadkiem następującej sceny. Rzecz działa się w parku miejskim.

Na ławce siedzi mamusia, a malutka córeczka, czując się już dość pewnie na swych drobnych nóżkach, biega tu i tam. W końcu sprzykrzyła się małej zabawa w pobliżu mamusi, więc wybiera się dalej. Za miejsce nowych zabaw obrała sobie trawnik i hasa po nim beztrósko. Jak wiadomo, w parkach publicznych wchodzenie na trawniki jest surowo wzbronione. Nie dziw więc, że matka ostrym głosem przywołuje swą Zosię. Woła raz drugi, trzeci, lecz bez skutku, wreszcie mówi: „chodź tu zaraz, bo jak nie wrócisz, to zobaczysz, że cię żmije pożra!”

W tej samej chwili zabrzmiał żaloszny płacz. Widzę, jak przerażona dziewczynka pragnie jak najszybciej znaleźć się poza obrębem niebezpieczeństwa, ucieka w pośpiechu i lęku — bęc przewraca się i płacze jeszcze głośniej.

Matka biegnie teraz na pomoc, podnosi swą pociechę, tuli, pieści. Po jakimś czasie już nic nie boli, ale długo jeszcze siedzi dziecko zgazzone, zalęknione i nie przejawia najmniejszej ochoty do zabawy.

Czy mamusia dobrze postąpiła?

Nie. Najpierw mamusia nie powinna była grozić swej Zosi żmijami; a zamiast nawoływać, trzeba było raczej wstać, pójść, wyprowadzić małą za rączkę i ukarać za nieposłuszeństwo.

Wymuszanie posłuszeństwa straszeniem: „kominiarz przyjdzie, baba Jaga cię porwie, zawołam policjanta” albo „tam nie chodź, bo są wilki” itp. nie da dobrych wyników. Jedne z dzieci przyzwyczajają się wkrótce do groźb i nadal będą „broiły”, a inne, bardziej wrażliwe, staną się nerwowe, bojaźliwe. — Za nic w świecie nie zechcą same zostać w pokoju, będą się bały ciemności, w nocy dręczyć je będą przykre sny, a wszystko to razem odbije się ujemnie na ich zdrowiu.

W wyżej opisanym wypadku matka swoim własnym autorytetem ewentl. karą powinna była uzyskać to, co wymusiła na dziecku przy pomocy „strachów”.

A teraz inny obrazek.

Było to w pociągu. Mamusia jechała ze swą cztero a może pięcioletnią pociechą. Ledwo usiadły dziewczynka zaczęła pytać: „dlaczego tu są drzwi, dlaczego to, dlaczego tamto, dlaczego, dlaczego...” — Po kilku odpowiedziach mamusia nakazała milczenie. Hanusia zasmuciła się, a po chwili, stanęła przy oknie i przyglądała się z zainteresowaniem drzewom, łąkom, polom, wsiom. Po jakimś czasie zaczęła się bawić pasem skórzanym, przeznaczonym do podnoszenia i opuszczania okna. Wymyśliła sobie nową zabawę — oblizywanie skórzanej taśmy.

Spostrzegłszy to mamusia obdarza Hanię klapssem. Kara nie pomogła, za chwilę dziewczynka robi znów to samo. „Haniu, nie wolno” — woła matka. I tak kilka razy bez skutku i znów klaps.

Czy to upór? Nie. Po prostu Hania nie rozumiała, dlaczego nie wolno, bo matka jej tego nie wytłumaczyła.

Jakaś przygodna podróżna wmieszała się w całą sprawę i zapytała: „czy wiesz, dlaczego nie można się tak bawić?” Mała potrząsnęła przecząco głową. Wtedy pani wytłumaczyła, że pas, który Hania dotyka, wisi tu od wielu, wielu lat i codziennie chwytają go różne ręce, a więc musi być brudny. Na pewno są też na nim różne bakcyle czyli zarazki chorobotwórcze, od których, bawiąc się w ten sposób, Hania może się rozchorować. „To musiałabym leżeć w łóżeczku” — sama już dorzuciła dziewczynka i natychmiast odsunęła się od okna.

Zatem nie wystarczy rozkazywać, lecz trzeba to umiejętnie czynić. Wtedy prędzej osiągniemy to, czego wymagamy. Od małego dziecka żądać możemy ślepego posłuszeństwa, bo ono nie jest jeszcze zdolne do zastanawiania się, i gdybyśmy mu próbowali tłumaczyć nasze powody, tak by nas nie zrozumiało. Dziecko starsze natomiast, takie które już rozumuje, nie lubi słuchać na ślepo, lecz chce mieć pełną świadomość swego postępowania. Musimy mu w niektórych wypadkach uzasadnić, dlaczego nie wolno tak robić, dlaczego to jest złe a tamto dobre i wtedy nas najczęściej usłucha.

W wielu też wypadkach uniknęłoby się bicia, kar i łez, gdyby rodzice umiejętniej wydawali swe rozkazy a nade wszystko sami rozsądnie postępowali.

„Nie płacz, Józiu, dostaniesz jabłuszko” — powiedziała matka do synka, którego ojciec — słusznie i sprawiedliwie przed chwilą ukarał za krnąbrność i nieposłuszeństwo. Innego dnia natomiast zażądała surowego wymiaru kary, bo zdaniem jej dziś ojciec jest za łagodny. Rodzice nie byli zgodni w swych poglądach na winę i karę, jak i innych sprawach wychowawczych. Wybuchały kłótnie. Świadkiem ich było zawsze dziecko. Matka stale chciała czego innego. Kiedy ojciec karał, ona rozczulała się nad synkiem i dawała mu podarunki na pocieszenie, kiedy sama wpadła w złość, to znów każda kara była za mała. Wkrótce też chłopiec poznał doskonale słabości matki i stracił szacunek dla niej.

Dalszą omyłką to obiecywanie dziecku nagrody za czynności, które powinno wykonać a nie chce.

Z tego właśnie powodu rodzice nie mogą sobie dać rady z swym kilkuletnim Jasiem, który urządza niesłychane awantury przy myciu i nigdy nie chce się porządnie uczesać. Błąd polega na tym, że obiecano mu kiedyś nagrodę, jeśli pozwoli się porządnie umyć i uczesać. I co się dzieje? Na drugi raz mały brudas urządza jeszcze gorsze brewerie, by wymusić większy okup. Dla świętego spokoju rodzice i tym razem ustępują. To było ich ogromnym błędem, bo od tej pory chłopiec nic nie chce zrobić bez nagrody. Wymagania jego wzrastają z dnia na dzień. Rodzice są zrozpaczeni, bo przez swe nieudolne postępowanie stracili całkowicie władzę nad dzieckiem.

Jakżeż tu uzasadnioną byłaby przestroga Pisma św.: „Nie dawaj mu (dziecku) swej woli za młodu” (Eccl. 30, 11).

W wyżej opisanym wypadku rodzice użyli nagrody zamiast kary. Nie znaczy to, że ciągle trzeba karać. Przeciwnie, nagroda sama w sobie jest bardzo skutecznym środkiem wychowawczym, ale musi być stosowana tylko wtedy, kiedy dziecko na nią rzeczywiście zasłuży, np. gdy dokona czegoś trudnego, nadzwyczajnego lub gdy chcemy je zachęcić do wytrwania w dobrym. Nie można natomiast nagradzać za wypełnienie prostego codziennego obowiązku.

Staś został ukarany za kłamstwo. Skłamał, nie ma więc żadnej wątpliwości, że zasłużył na karę.

Ale, czy wystarczy karać? To za mało! Dziecku trzeba dać przede wszystkim przykład własnej prawdomówności. A przecież wczoraj, kiedy tatuś był w domu, kazano mu powiedzieć, że tatuś wyszedł.

Inne znów dziecko, któremu wpajano, że nie wolno kłamać, bo to jest bardzo brzydko, bo kłamcy nikt już nie wierzy — przyznało się szczerze do popełnionego przestępstwa. Dziecko ze skrucą opowiedziało wszystko tak, jak było. Rozgniewany ojciec ukarał je bardzo surowo. Bolesna nauczka sprawiła, że w przyszłości chłopiec stał się mniej szczerzy i jak mógł kręcił, by zmniejszyć swą winę.

Najwięcej błędów wychowawczych popełnia się w stosowaniu kary.

Często niewłaściwość polega na tym, że nie zbadawszy przedtem przyczyn wymierza się karę za winy niepopołnione. Przykładów znajdziemy dużo.

Oto jeden z wielu.

Dzieci praczki bawiły się w pralni, w której ich matka prała. W międzyczasie zaginęła kolorowa chusteczka, o którą upominała się jej właścicielka. Posądzenie padło na dzieci, toteż matka rozgniewana długim szukaniem bez żadnych dochodzeń sprawiła im porządne „łanie”. Tymczasem chusteczka znalazła się na spodzie wypranej bielizny.

Dzieci praczki doskonale pamiętają swoją krzywdę. Toteż ilekroć pojawi się na ich drodze właścicielka kolorowej chusteczki, kryją się po kątach lub zmykają pospiesznie do domu.

Niesprawiedliwość w karaniu dzieci polega również i na tym, że małe przewinienie wyolbrzymia się do rozmiarów zbrodni.

Wina i kara powinny być współmierne. Wystrzegajmy się przesady. Rozbieżność między winą a karą odczuwa dziecko jako wielką nieprawdliwość. W wielu wypadkach takiej samowolnej kary nie bierze jej poważnie i czasem nawet podrwiwa sobie z karzącego.

W rodzinach złożonych z kilkorga dzieci należy unikać nierównego ich traktowania. Nie jest to takie proste. Nie ma matki, nie ma ojca, którzy nie mieliby swego pupila. Toteż dlatego często grzeszy się przeciw sprawiedliwemu podziałowi względów. Bywa tak, że spośród córek cieszy się szczególniejszymi łaskami jedna, najładniejsza lub najzdolniejsza, w innym znów wypadku faworyzuje się najstarszego syna. Czasem też rodzice nie widzą całego świata poza chłopcykiem,

który jest jedynym przedstawicielem rodu męskiego w licznym gronie siostrzyczek.

Pewna rodzina miała kilka dziewcząt, które wzrastały otoczone miłością i pieczą nowych rodziców. Wszystko się jednak zmieniło, gdy po kilku latach rodzina powiększyła się o małego chłopczyka. Z tą chwilą wszystkie inne dzieci przestały istnieć. Kiedy cała uwaga, troska i miłość rodzicielska skierowała się na najmłodszego i inne dzieci te odczuły, zrodził się w ich sercach żal. Ich samopoczucie uległo osłabieniu, uczuły swą niższość. Bolało je, że nikt już ich teraz nie pochwalił, nikt nie podziwiał. Za to wszystko, co robił braciszek, wprowadzało rodziców w zachwyt. Ojciec i matka chlubili się nim przed całym światem, w ich mniemaniu chłopiec był najpiękniejszy, najlepszy, najdoskonalszy. — Synkowi wszystko było wolno. Za co inni byli karani, jemu „uchodziło na sucho”. I tak na każdym kroku resztę dzieci spotykała niesprawiedliwość. Z czasem żal do rodziców przerodził się w uczucie szalonej zazdrości. Postępowanie rodziców nie zmieniło się. Psuty od samego urodzenia, ulubieniec stał się wielkim egoistą. Wydawało mu się, że cały świat jest na jego usługi. Siostry we wszystkim musiały ustępować. Żądano od nich ciągłego poświęcania się i odmawiania sobie przyjemności na rzecz małego samoluba.

Ciągłe niewychowawcze a krzywdzące postępowanie rodziców doprowadziło do tego, że reszta dzieci znienawidziła najmłodszego braciszka. Toteż kiedyś jedna z dziewczynek, doprowadzona do ostateczności, dopadła małego i poturbowała go tak poważnie, że był bliski śmierci.

Kogo tu winić? Całkowitą winę ponoszą rodzice, nierozsądnym postępowaniem doprowadzili do rozwinięcia się tych instynktów u swych dzieci.

Przyznać trzeba, że działalność wychowawcza rodziców nie jest łatwa a jest tak bardzo odpowiedzialna. Zatem zastanowimy się nad naszymi sposobami wychowywania. Czy nie popełniamy podobnych lub innych błędów? Jeśli tak, starajmy się ich unikać. Dołóżmy starań i prośmy Boga o łaskę, by nasza działalność wychowawcza podporządkowana była zasadzie słuszności, sprawiedliwości i rozsądku, a przez poznanie źródeł zła umożliwiła nam właściwą pomoc i kierowanie ku dobremu.

Drukarnia i Księgarnia Katolicka w Katowicach podjęła inicjatywę stworzenia biblioteki wychowawczej dla rodziców. Nakładem tejże wyszła książka dr. Fryderyka Szneidera pt.: „Twoje dzieci i ty”, przekład z niem. dr. Zofii Korszyńskiej.

Książka ta jest doskonałym poradnikiem wychowawczym dla rodziców. Zajmuje się wychowaniem dziecka od niemowlęstwa do dojrzałości. Omawia różne trudności, wykazuje liczne błędy i daje wskazówki praktyczne, jak ich unikać.

Każdemu, kto chce rzeczywiście szczerze i poważnie zabrać się do odpowiedzialnych zadań wychowawczych, możemy tę książkę polecić.

J. K.

NIE DRĘCZMY ZWIERZĄT!

W książkach z opowiastkami dla dzieci spotkać można dużo opowiadań, nauk, rad i myśli, których sens można by streścić w zdaniu: „Kochajmy zwierzęta”. Słuszna jest ta postawa wychowawców, zmierzająca do wyrobienia w człowieku właściwego stosunku do zwierząt poprzez stosowne wychowywanie już w okresie dziecięcym. Postawa ta mogłaby też wydać pomyślne owoce, gdyby była należycie doceniana przez ogół społeczeństwa. Niestety poza nielicznymi jednostkami, ludzie, którzy już wyrosli z okresu dzieciństwa, uważają, że tak błahą sprawą jak należyte traktowanie zwierząt, nie warto się zajmować; co więcej — przyjmowaniem się losem zwierząt byłoby niegodne dorosłego, silnego i dzielnego człowieka. Należy to zostawić dzieciom i starym pannom, ostatecznie — poetom. Litowanie się nad losem zwierząt poczytuje się jako słabość i miękkość, a tego przecież dorosły człowiek, zwłaszcza mężczyzna, się wstydzi.

Często wysuwa się też argument, że człowiek, bliźni, jest przecież ważniejszy od zwierząt. Gdy więc tyle jest nędzy i biedy między ludźmi, i nie można im zaradzić, to już wprost niewłaściwą byłoby rzeczą troszczyć się zbytnio o zwierzęta. Podobnego argumentu użył niedawno jeden z senatorów na posiedzeniu którejś komisji senatu. Gdy się bliżej takiemu argumentowaniu, na pozór słusznemu, przyjrzymy, stwierdzimy bez trudu, że jest ono bardzo słabo skonstruowane i nie może się oprzeć rzeczowej krytyce. Oczywiście jest przecież rzeczą, że dwie te sprawy, to jest miłość bliźniego i ludzkie traktowanie zwierząt wcale się nie wykluczają; mogą istnieć obok siebie, bez najmniejszej szkody którejkolwiek z nich. Co więcej — głębsze wejrzenie w te sprawy odkryć musi nawet współzależność między nimi. Nie będziemy się przecież spodzielali serca czulego na niedolę bliźnich u człowieka, który jest bez serca wobec zwierząt. I na odwrót.

Miłość bliźniego wreszcie nie doznaje pomniejszenia wskutek należytego stosunku człowieka do zwierząt z tej przyczyny, że zgół inne formy przybiera zachowanie się człowieka w odniesieniu do obydwu tych spraw; to znaczy: inaczej objawiać się musi nasza troska o ubogiego i potrzebującego pomocy człowieka a inaczej — litość wobec zwierząt. Podczas gdy pierwszy wypadek wymaga prawie zawsze dobrych uczynków z naszej strony, w wypadku drugim najczęściej będzie chodziło o to, by nie czynić źle. Zwierzęta nie oczekują od nas datków pieniężnych ani ofiar. Do wyjątków należą te wypadki, gdy dla ulżenia doli zwierząt sięgnąć musimy do naszej kieszeni. Po prostu nasz stosunek do zwierząt będzie już wtedy zadowalający, gdy im damy spokój, względnie skoro już musimy wciągać je w zakres naszych potrzeb — gdy będziemy oszczędzali im niepotrzebnych cierpień. Jak zatem widzimy, nawet w czasach wielkiej nędzy możemy się troszczyć o ulżenie doli zwierząt. Nie tylko możemy, ale powinniśmy.

Kto się tą sprawą zainteresował, twierdzić może bez obawy mijania się z prawdą, że stosunek bardzo wielu ludzi do zwierząt nie jest odpowiedni, że pod tym względem poważnie grzeszymy.

W swym stosunku do zwierząt, ludzie zdają się o wielu rzeczach zapominać. Tym tylko można sobie tłumaczyć postępowanie, które nie tylko że jest często okrucieństwem, ale jest przede wszystkim bezprawiem, gwałtem no i — czarną niewdzięcznością.

Zdają się ludzie zapominać o tym, że zwierzę jest również stworzeniem Boskim, wprowadzie mniej doskonałym od człowieka, ale zawsze — dziełem Stwórcy. Bóg miał cel, stwarzając bogaty i różnorodny świat zwierzęcy. Celem tym w każdym razie nie ma być zaspokojenie instynktu okrucieństwa u człowieka. Stwarzając zwierzęta, udzielił im Pan Bóg prawa do życia, prawa, którego człowiekowi samowolnie i bez istotnej potrzeby nie wolno im odbierać. Całą przyrodę a więc i świat zwierzęcy oddał wprawdzie Pan Bóg pod władzę człowieka, ale tylko w tym celu, aby służyła człowiekowi w spełnieniu jego ziemskich zadań. Poza tym jest świat zwierzęcy jak i zresztą wszystko, co na tym świecie się znajduje — własnością Boga. A tej własności nie wolno człowiekowi niszczyć bez potrzeby i dla zabawy.

Zwierzęta, zwłaszcza wyższe ich gatunki, obdarzył Stwórca w podobne właściwości, jakie ma ciało ludzkie. Kończyny, mięśnie, serce, płuca, krew, przewod pokarmowy, system nerwowy, zmysły, u wielu zwierząt różnią się wprawdzie od takichże organów u człowieka swą wielkością, kształtem i mniejszą lub większą doskonałością, ale mimo wszystkich różnic nie możemy zaprzeczyć istnieniu zasadniczego podobieństwa. Dlatego, chociaż różnimy się od rodzaju zwierzęcego posiadaniem duszy nieśmiertelnej, wolnej woli i rozumu, to jednak łączy nas z tym światem podobieństwo powłoki zewnętrznej. Św. Franciszek z Asyżu widział w zwierzętach naszych niższych braci, stworzonych ręką Boga. W swym umiłowaniu wszelkiego stworzenia posuwał się tak daleko, że rozmawiał z ptaszkami, opowiadając im o Bogu.

To podobieństwo w budowie organizmów zwierzęcych i ludzkich prowadzi do ustalenia jeszcze jednego ważnego faktu, tego mianowicie, że zwierzęta odczuwają również ból, że cierpią i to nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Ludzie zdają się o tym często zapominać. Z jaką łatwością ci sami ludzie, którzy syczą, jęczą, ba nawet ryczą, gdy przyjdzie im znosić ból, zadają rany bolesne zwierzętom, lub — dopuszczają się nawet wymyślnych okrucieństw wobec bezbronnych stworzeń. Jeszcze łatwiej przychodzi ludziom zadawanie zwierzętom cierpień psychicznych. Na ogół przypuszcza się, że zwierzęta nie są zdolne odczuwać psychicznych cierpień. Jest to pogląd niezupełnie słuszny. Cały szereg objawów w zachowaniu się zwierząt, zwłaszcza samic wskazuje na to, że potrafią one cierpieć z powodu zabrania im potomstwa. Obserwowałem jaskółkę, której młodzi barbarzyńcy zniszczyli gniazdko z pisklętami. Biedny ptak nie dbał wtedy o to, że sam może się dostać w łapy zbirów. Ogarnęła mnie litość nad tym stworzeniem, połączona ze wstydem, że takiego barbarzyństwa dopuścić się mogli ludzie. Nierzadkie są wypadki cierpienia zwierząt z powodu utraty kogoś bliskiego. Zdarzało się już nieraz, że pies po śmierci swego pana zdychał po krótkim czasie na jego grobie. Z tych powodów grzechem jest zadawanie cierpień nie tylko ludziom, ale i zwierzętom.

W naszym stosunku do zwierząt trzeba uwzględnić jeszcze jeden ważny moment, to jest obowiązek wdzięczności. Nie trzeba wielkiego rozumu, by stwierdzić, jak niesłychanie wiele zawdzięcza rodzaj ludzki usługom zwierząt. A przecież na odwrót — zwierzęta ludziom niczego chyba nie zawdzięczają. Pomyślmy, gdzie stałaby dzisiaj nasza cywilizacja gdyby nie usługi zwierząt pociągowych: koni, wołów, mułów i niesłusznie pogardzonych osłów? W jaki to sposób bylibyśmy uprawiali ziemię od najdawniejszych aż do ostatnich czasów, gdyby nie te zwierzęta? Traktory motorowe wynalezione zostały przecież niedawno. I jakim to środkiem lokomocji musielibyśmy się byli posługiwać w przenoszeniu się z miejsca na miejsce? Przy bliższych odległościach — pieszo ciężary dźwigałibyśmy na własnych grzbietach. Ale przy dalszych odległościach? Prawdopodobnie siedzielibyśmy w miejscu, nie chciałoby się nikomu podróżować. A w takim razie, któż może zaręczyć, że w tej chwili miał się tu znajdować, nie chodzilibyśmy z oszczepem w rękę, skórą tylko odziani, szukając gdzieby co upolować, aby głód zaspokoić?...

Pomyślmy jeszcze, ile to mamy do zawdzięczenia koniowi, w walkach o granice państwa, o naszą wolność. W jaki to sposób hufce Chrobrego, Krzywoustego, Jagiełły, Sobieskiego biły wroga, jeśli nie z konia. Ginęło wtedy tych niewinnych zwierząt w obronie naszych spraw tyle, co i ludzi.

A jak się tym zwierzętom za to odpłacamy? Hm, przykro mówić. Dużo mogłaby o tym powiedzieć inspektorka Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, dużo, ale mimo to znikomą tylko część tego, co byłoby do powiedzenia. Zresztą sami mieliśmy możliwość nieraz już zaobserwować sceny, budzące w nas odrazę i oburzenie. Oto szkapina wynędzniała, niedożywiona, pokazująca żebra jak u harmonii ciągnie wóz naładowany cegłą. Widać po niej, że się już wysłużyła w służbie ciężkiej u ludzi. Należy jej się raczej odpoczynek. Ale właściciel chce na niej zarobić, jak najwięcej zarobić. Daje mało pokarmu, bo to kosztuje. Pracować zaś każe ponad siły od świtu do nocy. Ciężki wóz ugrzązł w błocie, w jakimś dole. Trudno go wyciągnąć. Wtedy woźnica bierze biczyśko i z całej siły niemiłosiernie okłada biedne stworzenie. W innym wypadku koń ma źle założoną uprząż, twarde rzemienie trą skórę, przecierają, sączą się krew. Woźnica nie zważa na to. Na drugi dzień tak samo zakłada uprząż. Zaschnięta wczorajsza rana zostaje zdarta, poszerza się. Biedne konisko, choć go boli, nie może się zatrzymać, bo natychmiast otrzyma bezlitosne cięgi. Można by podobne przykłady mnożyć w nieskończoność. Okrutnych woźniców, ludzi bez serca jest bardzo wielu. I nie tylko woźniców, tak jak nie tylko koń bywa ofiarą ludzkiego okrucieństwa.

Jak to jest z psami, z tymi najwierniejszymi podobno towarzyszymi człowieka? W jednym z dzienników opisywał niedawno pewien znany felietonista bestialski wyczyn gromady chłopców w Muszynie. Oto przywiązawszy pięć psów do drzew, mordowali je po kolei, przeryzując im gardziele kieszonkowym szczyrykiem. Czynili to podobno z wielkim spokojem, „na zimno”. Dreszczem przejmuje każda próba wyobrażenia

sobie tej sceny. W stosunków do psów zresztą ujemny przykład dają niektóre przepisy administracyjne. Wyłapywanie np. bezdomnych psów przez tzw. hycli nie przyczynia się bynajmniej do złagodzenia okrucieństw wobec tych zwierząt. Podobnie jak i przesadna ostrożność w wypadku stwierdzenia wścieklizny u jednego choćby tylko psa w okolicy. Zarządza się po prostu rzeź wszystkich psów w całej wsi, albo nawet w kilku wsiach. A przecież bez większego trudu można by zapewnić bezpieczeństwo przed rozszerzeniem się wścieklizny, bez uciekania się do tak niehumanitarnego środka.

Postępowanie ludzi w stosunku do psów jest nie bardzo mądre. Z jednej strony niektórych wybrańców psiego rodu hoduje się w warunkach przesadnie wygodnych, często wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, z drugiej zaś strony odnosi się człowiek do tych zwierząt jak najgorzej, co zresztą znalazło swój wyraz w całym szeregu przysłów i powiedzeń, chociażby na przykład takich jak: „zbije cię jak psa”.

I tu, podobnie jak to jest z koniem, postępowanie ludzkie jest bardzo niesprawiedliwe. Psi ród bowiem dobrze się już zasłużył człowiekowi i zasługuje na zupełnie inne traktowanie. Pominąwszy już codzienną i szarą służbę psa w strzeżeniu domostw lub pilnowaniu pasącego się bydła, nie wolno zapominać o całym szeregu usług specjalnych przez psy w różnych sytuacjach i w różnych czasach. Np. służba psów na froncie. Ile żołnierzy zawdzięcza swoje życie psom, trudno byłoby zliczyć. Niektóre z tych stworzeń tak się bohatersko zachowywały i tak się ludziom przysłużyły, że otrzymywały odznaczenie za dzielność. Piękną kartę w psiej historii zapisały swoimi czynami słynne psy bernardyńskie, używane przez zakonników w Alpach do poszukiwania zaginionych w górach wędrowców. A psy policyjne — mało to zbrodniarzy zostało dzięki nim zdemaskowanych? Albo wierna służba mądrych psów przydzielonych ociemnałym inwalidom, czyż nie jest wzruszającą? Słynni odkrywcy biegunów jak Nansen, Amundsen, Byrd i inni nie zdołaliby pewnie odkryć nowych części świata, gdyby nie psy. A ileż jest wypadków dzielności i bohaterstwa pojedynczych psów, o których się szybko zapomina. Niekiedy psie wyczyny zdumiewają nas swoją nadzwyczajnością, zdradzającą wysoką inteligencję. Tak np. na Alasce słynie pewien przedstawiciel tego rodu z tego, że pełni funkcję listonosza między dwiema miejscowościami odległymi od siebie o prawie 200 km. Sprawności tego psa nie mógłby żaden człowiek dorównać. Droga prowadzi przez ośnieżone pustkowia, przez lody, góry, doliny i lasy. Trzeba opierać się śnieżnym nawałnicom i uciekać przed hordami wilków. Nie dziwmy się, że różne już przygody przeżył ten pies podczas swojej służby. Świadczą o tym liczne blizny na całym jego ciele. Kilkakrotnie już zdarzało się, że nie wrócił na czas. Raz nie było go nawet przez kilka dni. Myślano już, że zginął po drodze w jakiej przygodzie. Wysłana na jego poszukiwanie ekspedycja wróciła z niczym. Niespodziewanie po kilku dniach pokazał się, niosąc na grzbiecie stały swój ekwipunek, to jest puszkę w której umieszczano korespondencje. Nie mógł powiedzieć, co się z nim w tym czasie działo, ale poszarpana i pokrwawiona na nim skóra świadczyła, że w ciężkiej musiał być opresji. Zaledwie powrócił

do sił po tej przygodzie, znowu swoją służbę rozpoczął, a pełni już ją przeszło 10 lat. Nic dziwnego, że dziesięciolecie jego pocztowej, jedynej chyba w świecie służby obchodzone było uroczystie, i na dumnej szyi tego bohatera zawisł medal za dzielność.

Takie są psy. Na froncie francuskim w czasie wielkiej wojny zdarzały się niejednokrotnie wypadki dekorowania gołębi pocztowych za dzielne przenoszenie meldunków. A jak niektórzy ludzie postępują z gołębiami? Ręką ukręcają im łepki. Wyobraźmy sobie, jakież to musi być ból. Znęcanie się nad ptakami jest ulubioną zabawą niektórych dzieci. Objawia się to nie tylko w niszczeniu gniazd i zabijaniu piskląt. Zaobserwowano niejednokrotnie wypadki prawdziwych tortur zadawanych tym niewinnym stworzeniom przez dzieci szkolne lub przez wyrostków. Schwytanym ptakom, obcina się skrzydła, wydłubuje oczy i puszcza się je, aby wypróbować czy będą mogły latać. Strzelanie do ptaków z proc, czy nawet z broni palnej, jest na porządku dziennym. Te barbarzyńskie zwyczaje sprawiają to, że w wielu miejscowościach ilość ptaków jest znikoma, cierpią na tym sady, w których bezkarnie mnożą się wtedy owady i gąsienice.

Na zakończenie wspomnijmy jeszcze o prześladowaniu kotów oraz o nieludzkich sposobach transportowania zwierząt przez handlarzy.

Dręczenie zwierząt sprzeczne jest z pojęciem kultury, toteż w całym szeregu państw drogą ustawową zabroniono złego obchodzenia się ze zwierzętami, a za wykroczenia ustanowiono surowe kary. W Polsce do tych spraw odnosi się rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 marca 1928 r. noszące tytuł: „O ochronie zwierząt”. Artykuł 1. tego rozporządzenia mówi, że znęcanie się nad wszelkimi zwierzętami, a więc nie tylko nad zwierzętami domowymi, ale również nad dzikimi, nad ptactwem, rybami, płazami a nawet owadami jest wzbronione. W szczególności, jak mówi art. 2., wzbronione jest używanie do pracy zwierząt chorych, poranionych lub okulawionych. Nie wolno bić zwierząt po głowie, dolnej części brzucha i dolnych częściach nóg, nie wolno ich bić przedmiotami twardymi i ostrymi, zaopatrzonymi w urządzenia, sprawiające specjalny ból. Wzbronione jest przeciążanie zwierząt pociągowych lub zmuszanie do zbyt szybkiego biegu, przekraczającego ich siły. Nie wolno przewozić, przenosić, lub przepędzać zwierząt w sposób, w pozycji i w warunkach powodujących cierpienia fizyczne. Zakaz ten odnosi się przede wszystkim do handlarzy, którzy aż nazbyt często transportują zwierzęta jak martwy towar. Dalej zabrania to rozporządzenie używania uprząży, więzów, pęt itd. powodujących ból, względnie — używania tych przedmiotów w sposób mogący spowodować ból lub okaleczenie. Zabronione jest używanie zwierząt do wszelkiego rodzaju doświadczeń powodujących śmierć, okaleczenie lub cierpienie. Wyjęte spod tego zakazu są jedynie wyższe zakłady i laboratoria naukowe; jednak osoby, przeprowadzające tego rodzaju doświadczenia, muszą posiadać specjalne zezwolenie władz. Zabronione jest także, o czym zdaje się niewiele ludzi wie, złośliwe straszenie i drażnienie zwierząt. Za wykroczenie przeciw tym zakazom przewiduje się kary, do 6 tygodni aresztu.

tu lub 2000 zł grzywny albo obydwie te kary razem. Karom tym podlega nie tylko sprawca wykroczenia, ale i właściciel zwierzęcia, jeżeli nie zapobiegł wykroczeniu lub jeżeli dokonane zostało ono za jego zgodą. Kara ta jednak może być podwyższona do jednego roku więzienia, jeżeli się wykaże, że sprawca dopuszczał się szczególnego okrucieństwa. Jeżeli zabronionych czynów dopuszczają się dzieci do lat 14, rodzice ich, względnie osoby, którym się udowodni brak dozoru nad dziećmi, ulegają karze grzywny do 50 zł. Jeżeli zwierzę wskutek znęcania się nad nim znajduje się w stanie silnego wyczerpania, względnie okaleczenia, winno być zbadane przez lekarza weterynarii i stosownie do jego opinii winno być zabite albo oddane do leczenia; przy czym leczenie odbywa się na koszt właściciela.

Widzimy zatem, że obowiązuje u nas bardzo humanitarne rozporządzenie. Niestety chociaż obowiązuje ono już 11 lat, dręczenia zwierząt są na porządku dziennym. Społeczeństwo bowiem niedość uwagi przywiązuje do tych spraw. Niedawno, bo w r. 1938 minister spraw wewnętrznych zmuszony był wydać specjalny okólnik do wojewodów, polecający im zwracać szczególniejszą uwagę na dręczenie koni. Rozporządzenie bowiem swoją drogą a ludzie swoją. Stan ten może się zmienić tylko wtedy, gdy społeczeństwo przyłoży rękę. Należy więc ujawniać wszelkie wypadki dręczenia zwierząt. W wypadku konkretnym należy wezwać posterunkowego do spisania protokołu. W niektórych województwach komendanci P. P. wydali specjalne rozkazy dla podwładnych sobie organów mające na celu zwalczanie dręczenia zwierząt. Ze strony policji można więc oczekiwać pomocy w każdym dostrzeżonym przez nas wypadku.

Akcja zwalczania dręczenia zwierząt prowadzona jest w wysokiej mierze w tych państwach, które przodują światu cywilizacją i kulturą. Jest to zrozumiałe. Kulturalny bowiem człowiek nie jest zdolny do zadawania cierpień bezbronnym stworzeniom. Można by tu zaryzykować nawet twierdzenie, że stosunkiem do zwierząt mierzy się stopień kultury danego społeczeństwa. Winniśmy to sobie dobrze uświadomić. A że sprawa nie jest błaha, dowodzi przykład Hiszpanii. Czy te wszystkie najbardziej wyrafinowane okrucieństwa, jakich dopuszczano się w wojnie domowej, miałyby miejsce, gdyby naród hiszpański nie rozkoszował się od setek lat w krwawych, pełnych ohydy walkach byków? Albo, — czy ci młodzi rzeźnicy z Muszyny, o których przed chwilą słyszeliśmy, nie będą kiedyś zdolni i człowiekowi gardła poderznąć? Warto się nad tym zastanowić.

Nasz stosunek do zwierząt nie ma być cikliwy, przesadnie czuły, jak u zwariowanych milionerek amerykańskich. Ma być ludzki, zgodny z poczuciem zdrowego rozsądku i wypływający z serca współczującego każdemu cierpieniu; ale nic ponadto. Legenda wschodnia opowiada o pewnym świętym braminie, który bardzo współczuł głodującej lwicy. Nie mogąc zaś w żaden sposób dostarczyć jej pożywienia, sam oddał się jej na pożarcie. No, tego od nas nikt nie wymaga, nawet pod grzechem nie wolno byłoby nam postąpić w podobny sposób. Warto jednak wiedzieć, w jak krańcowo różny sposób odnoszą się ludzie do zwierząt.

WYDAWNICTWA RADY SPOŁECZNEJ

PRZY PRYMASIE POLSKI

SERIA II:

ZAGADNIENIA USTROJU KORPORACYJNEGO

NR I.

Ks. Dr J. Piwowarczyk

KORPORACJONIZM I JEGO PROBLEMATYKA

Str. 47.

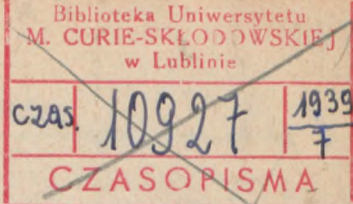
Cena 1.25 zł.

SKŁAD GŁÓWNY

W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

**DO NABYCIA W WSZYSTKICH WIĘKSZYCH KSIĘGARNIACH
I W ADMINISTRACJI „PRZEWODNIKA SPOŁECZNEGO”**

cras. 10927/20/7



JAKO SERIA III

**WYDAWNICTWA RADY SPOŁECZNEJ
PRZY PRYMASIE POLSKI**

ukazała się już w II nakładzie książka

STEFANA TURNAUA

KU LEPSZEJ PRZYSZŁOŚCI

WYDANIE II. ROZSZERZONE I POPRAWIONE

Zbiór wykładów społecznych dla młodzieży na podstawie encykliki „Quadragesimo anno” — i z uwzględnieniem enc. „Divini Redemptoris”. Oto tytuły wykładów: Ogólny pogląd na kwestię społeczną. O ważniejszych zjawiskach i pojęciach gospodarczych. Dzieje kwestii robotniczej. O współczesnym kryzysie gospodarczym. O socjalizmie, części I i II. Socjalizm a religia. O liberalizmie. Liberalizm w świetle zdrowego rozsądku i zasad katolickich. Zasady chrześcijańskiej nauki o własności. O podziale bogactw i wzajemnym stosunku pracy i kapitału, części I i II. Liberalny indywidualizm, socjalistyczna walka klas a ustrój stanowo-zawodowy. Wprowadzenie ustroju stanowo-zawodowego i jego zadania. Etałizm, totalizm a katolicki korporacjonizm. Naprawa obyczajów. Kościół — a wyzysk kapitalistyczny. Sprawa wsi.

Cena 2.70 zł.

D o s t a r c z a j ą :

**KATOLICKIE STOWARZYSZENIA MŁODZIEŻY MĘSKIEJ
KATOLICKIE STOWARZYSZENIA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ**

Wydawca: Katolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny: Ks. Dr Edward Kozłowski w Poznaniu. — Tłoczono w Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu na papierze z własnej fabryki „Malta”.